Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 9. VIII 1968

Dziś w numerze: „Niech wiatr ją poniesie...“ • Potomkowie Fenicjan • Urodziny aktora • O malarstwie młodych • Czy prawdziwa Kefalinia? • 10 lat „Czołówki“ • Rzymianie • Felietony • Recenzje

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

32 (561)
11. VIII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

ALEKSY KUDYNIUK

Wspomnienia robotnika

(W 26 rocznicę śmierci „Małego Franka — Zubrzyckiego)

KIEDY Niemcy wkroczyli, ja byłem już w domu — przyszedłem z huty. Mieszkałem na Bugaju — Sulejowska 41. Miałem już wtedy dwie córeczki, urodziły się one w 1930 roku. Żona była wówczas niespokojna o mnie, bo miałem w hucie dyżur LOP. Wszyscy uciekali, w hucie nie było żadnej organizacji, kierownik bał się również — to był jak się później okazało volksdeutsch, niejaki Burchard. Ale to był porządny człowiek, mimo że został volksdeutschem. Kiedy weszli Niemcy i uruchomili hutę on był kierownikiem i powiedział do nas — wam tu krzywdy nie zrobią, ja będę się starał, żeby Niemcy jak najmniej stąd dostali. I faktycznie tak było. Niemcy jednak zorientowali się, że działa on na ich szkodę i dali innego, niejakiego Górnickiego. Te był okropny typ — on mówił, że tylu a tylu hutników komunistów należałoby zlikwidować, to podniosłaby się produkcja. On pochodził z Chełma Lubelskiego, miał tam swoją własną hutę, ożenił się z córką popa.

* * *

KIEDY wróciłem rowerem do wioski na Bugaju, żona powiedziała mi już w korytarzu, że przebywa u nas w domu trzech skoczków. To było 7 stycznia 1942 r. Była to godzina popołudniowa, siedemnasta. Byłem trochę zaniepokojony, choć nieraz marzyłem o przybyciu skoczków i zawiązaniu jakiejś organizacji, o stworzeniu frontu na tyłach, ale zły byłem na siebie o to, że zwróciłem na siebie uwagę w fabryce. Obawiałem się, że mogę być śledzony. Słyszeliśmy już, że w Lubelskiem były już partyzantki różnych nazw, słyszeliśmy o walkach partyzanckich w Jugosławii. Gdy wszedłem do mieszkania stwierdziłem, że jeden ze skoczków to tow. Papliński, stary hutnik z huty „Hortensja", którego znałem ja i moja żona, był on członkiem PPS-Lewicy. Zarówno on jak i moja żona pracowali razem w zarządzie PPS-Lewicy. Jeden z towarzyszy ładując we wsi Sokołów miał wypadek, złamał sobie nogę. Przedstawił mi się jako Zdzisław Rybicki. Na górnej wardze miał szramę — pozostałość po więzieniu w Będzinie. Jako komunista był on bowiem więziony przez jedenaście lat przed wojną. Dopiero później dowiedziałem się jego prawdziwego nazwiska — był to Anastazy Kowalczyk, ślusarz z Będzina, działacz związkowy i były kapepowiec.

* * *

KOWALCZYK wyjechał do Zagłębia Dąbrowskiego. Tow. Papliński naznaczył pierwsze posiedzenie i powiedział: Warszawa wasz adres ma, na wasz dom będzie przychodzić różna prasa, różni ludzie będą przyjeżdżać. To był początek lutego. Tow. Papliński polecił mi wyszukanie lokalu na spotkanie i ludzi, którzy chcieliby wstąpić do naszej organizacji. Ja już miałem jednego, który się ukrywał, niejaki Józef Sapata — to był łodzianin, który był ważną osobistością w związkach zawodowych, jednocześnie kapepowiec i gdy spotkali się z Feliksem na posiedzeniu u mego brata Aleksandra Kudyniuka, to się poznali. Posiedzenie odbyło się u mojego brata na ulicy Przedworskiej pod numerem siedemnastym. Mój brat był również hutnikiem, pracował w hucie Feniks. Brata wtajemniczyłem jeszcze przedtem, że takie a takie zebranie ma się u niego odbyć. To była niedziela, godzina popołudniowa, bodajże 15.

Dalszy ciąg na str. 4

MIROSŁAW MIESZCZANKOWSKI

Gondole na bajorze

(Reportaż wyróżniony na konkursie „Odgłosów"

Ten chłopak jest wszędzie pierwszy. Kiedy idzie dziurawi kulą ziemię, więc gdzie przejdzie pozostawia odcisk stopy i głęboki lejek. Ludzie mówią: tędy szedł Tadek Kulas.

Zaprowadzi was nad bajoro, postoi, popatrzy, posłucha, bo słowiki śpiewają w łozach, pomyśli i powie, że to bajoro trzeba osuszyć. Bajoro jest długie i wąskie, ciągnie się serpentyną między wiklinami. Zapytacie, czy ma zamiar zawieszać nad bajorem lampiony, a na bajoro opuścić gondole? Odpowie, że bardziej idzie mu o ryby, żeby je „zahodować". Ale właściwie może być jedno i drugie. Powie tak, żeby nie robić wam przykrości — grzeczny jest.

Pięćdziesiąt metrów dalej chłopaki hałasują motorami. Przykręcają i odkręcają gaz bez powodu, ot tak, by pokazać prelegentowi, który właśnie przyjechał na wzgórek do klubu-kawiarni, że stać ich na benzynę i że motory mają.

Warkot niesie się daleko i dziewczyny ze wsi spieszą zobaczyć, czy nie przyjechał Kazek, Józek, albo Franek. Przed klubem spotkać się wypada i nikt na nikogo złego słowa nie powie. Więc dziewczyny ulegają tej propagandzie kulturalnej co ją chłopaki przy pomocy tych motorów robią lepiej niż radiowozy z głośnikami.

Tadek wyciąga wtedy z rozkisłego torfu tę swoją kulę — niedołę i kuśtyka na wzgórek, zwrócić im uwagę, że to nieładnie w prelekcji przeszkadzać. Przyszli — powie wam z żalem — ale do środka nie wejdą, bo nieobyci jeszcze, choć niektórzy w mieście pracują. Sporo czasu upłynie zanim ta kultura wejdzie w sam ich środek. Trudno.

Martwi się o nich choć — jak dotąd — niewielu miał wokół siebie takich, którzy chcieliby martwić się o niego. Myśli o nich i wszystkich sprawach z nimi związanych, bo źle jest podobno, kiedy ludzie o sobie myśleć nie chcą. Taką ma filozofię.

Iluż znam ludzi, wykształconych, szanowanych, na stanowiskach, lub z tak zwaną przyszłością, którzy jednak do takiej filozofii nigdy nie dojdą. Zastanawiam się, co musi odczuwać ten młody człowiek bez lewej ręki i prawej nogi, kiedy chłopaki robią ten koncert na motory, a później biorą na tylne siodełka dziewczyny.

Ręka i noga bolały w najmniej spodziewanych miejscach. Najpierw pocisk tkwił w ziemi do połowy wbity w murawę, lśniący ciemnym błękitem jakby prosto z fabryki. Lśnił tak, że chciało się go wziąć w rękę. Potem pocisku nie było... Można się zżymać na taką nieostrożność. Można mówić o propagandzie i oświacie, ale pocisk przyciągał. Żeby to zrozumieć, trzeba znać pustkę otwartych pastwisk pod skwarnym słońcem w lecie, ich smutek bezbrzeżny jesienią, kiedy mgły łażą po ziemi i można tylko siedzieć bez ruchu z troską o tę warstewkę ciepłego powietrza, między powierzchnią ciała a derką. Trzeba znać ten smutek i nudę otwartych pastwisk na widnokręgu dopiero obrzeżonych wąskim pasemkiem lasu i chałup. Aby to wszystko właściwie zrozumieć trzeba być jeszcze dzieckiem.

Miesiące leżenia w szpitalu. Miesiące leżenia w domu i lata całe rehabilitacji...

— Przeczytałem prawie dwa tysiące książek — powiada Tadek. — Dużo to czy mało?

— To zależy.

— Książki trzeba czytać tak, jak się gryzie orzechy — mówi z przekonaniem. — Jest u Sienkiewicza taki moment: stary Wołodyjowski powiada młodemu: „Postury jesteś podłej, więc, jak się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą śmiali". I pan Michał uczy się szermierki i ludzie go się boją.

— To jest uproszczenie — oponuje. — Nie wolno wyrywać myśli z kontekstu. To jest jeszcze sprawa celu, jakiemu dana umiejętność służy.

Tadek nie słyszy.

— Przeczytałem całego Sienkiewicza i nie dostrzegłem, że to była propozycja jakiejś koncepcji życia. Może nie? Albo u Mickiewicza „Ten się wśród mędrców liczy, zna chemię, ma gust, kto pierwiastek słodyczy z lubych wyciągnął ust". Też propozycja. — Mówi wolno, z namysłem, brwi ma ściągnięte. — Albo gdzie indziej: „W każdej dobie społeczeństwu służyli tylko rozumni i szlachetni". Jeszcze gdzie indziej: „Tam się

Dalszy ciąg na str. 4

ŻE ŚWIATA

W ubiegłym tygodniu najważniejszym wydarzeniem, którego przebieg z uwagą śledził cały świat, była narada przedstawicieli partii komunistycznych i robotniczych Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Polski, Węgier i Związku Radzieckiego. W wyniku tej narady ogłoszono oświadczenie, którego fragmenty niżej drukujemy.

(...) Zgodnie z istniejącą tradycją, w atmosferze całkowitej szczerości, pryncypialności i przyjaźni, bratnie partie omówiły aktualne zagadnienia walki o socjalizm, o dalsze umacnianie współpracy socjalistycznej i zwartości światowego ruchu komunistycznego. Dokonano wymiany poglądów w sprawach aktualnej sytuacji międzynarodowej i wzmożenia walki przeciwko imperializmowi. Przedstawiciele partii komunistycznych i robotniczych przedyskutowali sposoby umocnienia i rozwoju braterskiej współpracy państw socjalistycznych.

Narody krajów europejskich, które po rozgromieniu faszyzmu i dojściu do władzy klasy robotniczej wkroczyły na drogę socjalizmu, osiągnęły zwycięstwa we wszystkich dziedzinach życia społecznego. W tym okresie w każdym kraju socjalistycznym, przezwyciężając trudności i stale doskonaląc działanie partii stworzono potężny przemysł, przekształcono życie wsi, zapewniono stały wzrost dobrobytu narodów i rozkwit kultury narodowej. Miliony ludzi pracy świadomie uczestniczą w życiu politycznym. Ogromne sukcesy w budownictwie socjalizmu i komunizmu osiągnął zwłaszcza Związek Radziecki, niepomiernie wzrósł wpływ państw socjalistycznych na arenie międzynarodowej, ich rola w rozwiązywaniu głównych problemów polityki światowej.

Poparcie, umacnianie i obrona tych zdobyczy osiągniętych dzięki bohaterskim wysiłkom i ofiarnej pracy każdego narodu, stanowią wspólny internacjonalistyczny obowiązek wszystkich państw socjalistycznych. Takie jest jednomyślne stanowisko wszystkich uczestników narady, którzy wyrazili swoją niezłomną wolę rozwijania i obrony zdobyczy socjalistycznych w swoich krajach, osiągania nowych sukcesów w budownictwie socjalizmu.

(...) Bratnie partie zdecydowanie i stanowczo przeciwstawiają swoją niezłomną solidarność i wyostrzoną czujność wszelkim knowaniom imperializmu, jak również wszystkim innym siłom antykomunistycznym, zmierzającym do osłabienia kierowniczej roli klasy robotniczej i partii komunistycznych. Nie pozwolą one nigdy i nikomu wbić klina między państwa socjalistyczne, podważyć podstaw socjalistycznego ustroju społecznego. Umacniana w tym duchu braterska przyjaźń i zwartość odpowiadają żywotnym interesom naszych narodów, stanowią niezawodną podstawę dla rozwiązywania społeczno-gospodarczych i politycznych zadań, nad którymi pracują partie komunistyczne naszych krajów.

Uczestnicy narady wyrazili swe zdecydowane dążenie, by uczynić wszystko, co leży w ich mocy, aby pogłębić wszechstronną współpracę swych krajów na zasadach równości, poszanowania suwerenności i niezależności narodowej, nietykalności terytorialnej oraz braterskiej pomocy wzajemnej i solidarności.

(...) Uczestnicy narady uważają za swój obowiązek zwrócić uwagę narodów na to, że w wyniku agresywnej polityki imperializmu, sytuacja międzynarodowa jest nadal skomplikowana i niebezpieczna. W tych warunkach bratnie partie krajów socjalistycznych w trosce o umocnienie pokoju światowego i bezpieczeństwa narodów, mając na uwadze konieczność udzielania zdecydowanej odprawy agresywnej polityce imperializmu i utrwalania zasad pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych, raz jeszcze potwierdzają gotowość uzgadniania i koordynacji swych poczynań na arenie międzynarodowej.

(...) Partie komunistyczne krajów socjalistycznych wyrażają swoją zdecydowaną wolę zapewnienia europejskiego bezpieczeństwa, potwierdzają zasady deklaracji bukareszteńskiej i oświadczenia konferencji europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Karlovych Varach. Gotowe są one uczynić wszystko, co niezbędne dla zwołania kongresu narodów Europy w obronie pokoju na naszym kontynencie. Zdecydowane są nie dopuścić do podważenia pokoju w Europie, co ma decydujące znaczenie dla utrzymania pokoju na całym świecie. Nasze wspólne wysiłki będą zmierzały do osiągnięcia tego celu, który odpowiada interesom wszystkich narodów.

Dziś, kiedy siły imperializmu USA, NRF i innych krajów przejawiają agresywną aktywność, uporczywie usiłują osłabić wspólnotę krajów socjalistycznych, przedstawiciele bratnich partii uważają za konieczne raz jeszcze podkreślić szczególne znaczenie Układu Warszawskiego. Układ ten, zawarty między krajami socjalistycznymi w odpowiedzi na przystąpienie odwetowych Niemiec zachodnich do agresywnego bloku imperialistycznego NATO, był i pozostaje potężnym czynnikiem pokoju i bezpieczeństwa narodów Europy. Stanowi on nieprzebytą zaporę dla każdego, kto chciałby zrewidować wyniki II wojny światowej. Niezawodnie broni on zdobyczy socjalizmu, suwerenności i niezależności bratnich państw, służy umocnieniu bezpieczeństwa europejskiego i zachowaniu pokoju światowego.

Aktualna sytuacja wymaga od nas niesłabnących wysiłków na rzecz podniesienia zdolności obronnej każdego państwa socjalistycznego i całej wspólnoty socjalistycznej oraz umocnienia współpracy politycznej i wojskowej w ramach Układu Warszawskiego.

Trudny próg dla maturzystów

O wynikach egzaminów na wyższe uczelnie mówią:

PROF. DR JERZY WERNER REKTOR POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ

W bieżącym roku o przyjęcie na Politechnikę Łódzką ubiegało się 2.555 osób, w tym 47,6 proc. stanowiła młodzież pochodzenia robotniczego lub chłopskiego. Do egzaminów wstępnych przystąpiło 2.455 kandydatów. W wyniku egzaminów przyjęliśmy 1.200 osób, przy czym nastąpiły przesunięcia kandydatów, którzy uzyskali wysoką liczbę punktów, z wydziałów, gdzie limity wypełniono dobrze zdającymi, na te wydziały, gdzie były jeszcze miejsca nie obsadzone. Dotyczyło to przede wszystkim Wydziału Włókienniczego, na który przesunięto około 100 osób.

Można podać jeszcze dalsze liczby: wśród kandydatów 62 proc. ukończyło liceum ogólnokształcące, reszta to absolwenci szkół zawodowych; 72 proc. to maturzyści tegoroczni. Jako wiadomość szczególnie ważną podam tutaj, że wszyscy kandydaci pochodzenia robotniczo-chłopskiego, którzy zdali egzamin i wyrazili zgodę na przesunięcie na inny wydział, zostali przyjęci na pierwszy rok studiów, tworząc 50 proc. ogółu przyjętych. Wydział Chemii Spożywczej objął limitem nowo przyjętych około 60 proc. młodzieży robotniczo-chłopskiej. Największą popularnością cieszył się Wydział Elektryczny, dalej budownictwo lądowe, Wydział Mechaniczny i Chemiczny. Ta kolejność nie jest dla nas zaskoczeniem, gdyż od lat, na te właśnie wydziały mamy najwięcej kandydatów. Zastanawiamy się natomiast dlaczego stosunek liczbowy młodzieży zgłaszającej się na Wydział Włókienniczy, do liczby wolnych miejsc jest najmniejszy. Trudności, jakie mamy ostatnio z naborem studentów, niepokoją tym bardziej, że nasz Wydział Włókienniczy jest przecież jedynym w Polsce, a wykształconych włókienników potrzebuje nie tylko Łódź.

Jeszcze bardziej niepokojący jest inny fakt, powszechnie już zresztą znany. Myślę tutaj o nie najlepszym przygotowaniu zdających. Ponieważ u nas najbardziej miarodajny jest egzamin z matematyki, przytoczę liczby. 43,3 proc. prac pisemnych, ocenianych oczywiście anonimowo, otrzymało ocenę niedostateczną. Jest to procent bardzo wysoki. Warto uzupełnić tę liczbę dalszymi: na Wydziale Chemicznym wskaźnik ocen niedostatecznych wynosi 25,6 proc., a np. na budownictwie lądowym — 57,4 proc. Najlepiej wypadły egzaminy na Wydziale Elektrycznym i Chemicznym. Mieliśmy tu kandydatów, którzy osiągnęli maksymalną liczbę 32 punktów. Na innych wydziałach nikomu nie udało się tego osiągnąć. Jest to zresztą pewna prawidłowość. Młodzież zdaje sobie sprawę, że studia na tych dwu wydziałach są trudne, toteż o przyjęcie ubiegają się najlepsi. W tym roku znów nie najlepiej wypadły egzaminy z języków obcych. Młodzież w dalszym ciągu ma niewielkie wiadomości, których w dodatku nie umie praktycznie zastosować.

Wróćmy jednak do tych niezadowalających wyników z matematyki. Trudno tutaj nawet przeprowadzić porównanie z latami ubiegłymi, gdyż w tym roku tematy były łatwiejsze. Tym gorzej świadczy to o przygotowaniu tych, którzy nie mogli sobie z nimi poradzić.

Gdzie widzę przyczyny takiego stanu rzeczy? Jest ich kilka. Pierwsza tkwi w nauczaniu matematyki w szkole średniej. Wydaje mi się, że trzeba by mu nadać charakter bardziej praktyczny, czyli po prostu rozwiązywać więcej zadań, szczególnie w klasach starszych. Druga przyczyna, dotycząca nie tylko matematyki, to matura, która w tej chwili nie stanowi właściwie żadnego sprawdzianu wiadomości. Skądinąd w szkole średniej panuje chyba zbyt duża tolerancja w stosunku do uczniów nie wykonujących należycie swych obowiązków. I to jest bardzo złe. Przy tym wszystkim młodzież na ogół nie umie mówić ściśle. Ogólnie uprawiane jest, popularnie mówiąc, „wodolejstwo", czyli niepotrzebne podawanie wiadomości w stylu zbyt kwiecistym. Pole do popisu mają nie tylko nauczyciele przedmiotów ścisłych, ale chyba i poloniści.

Chciałbym tutaj rozwiać mit, który urósł już wokół egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie, w tym i wokół egzaminu na Politechnikę. Zaryzykowałbym twierdzenie, że **każdy pilnie uczący się młody człowiek może ten egzamin zdać.** I nie potrzeba specjalnych zdolności. Owszem, one mogą pomóc i przydać się potem, już w trakcie studiów. Nie podzielam również opinii, że na Politechnikę lepiej zdają absolwenci szkół zawodowych. Przeciwnie, osiągają oni na ogół gorsze oceny z egzaminu z fizyki, ponieważ kończą jej kurs na dwa lata przed ukończeniem technikum. Natomiast praktyczna wiedza, którą już zdobyli, przydaje im się dopiero na latach starszych.

Na zakończenie dwa choć pojedyncze ale konkretne fakty z tegorocznych egzaminów. Nie można było przyjąć absolwenta SN po matematyce, bo właśnie potknął się na tym przedmiocie (z fizyki otrzymał również trzy mniej). A nauczycielka języka rosyjskiego nie mogła dostać oceny bardzo dobrej z pisemnej pracy z tego języka, bo zrobiła błędy.

PROF. DR ANDRZEJ NADOLSKI PROREKTOR UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

W tym roku na wszystkich kierunkach uniwersyteckich mieliśmy łącznie 1.496 miejsc. Zgłosiło się 3.848 kandydatów, ale do egzaminu przystąpiło tylko 3.709 osób. Ponieważ z powodu słabych wyników egzaminów na matematyce i fizyce, nie wypełniliśmy limitów na tych dwu kierunkach, przyjęliśmy tylko 1.422 osoby.

Najwięcej kandydatów, bo 671 zgłosiło się na prawo, które dysponowało 200 miejscami. W dalszej kolejności: na 166 miejsc na ekonomice przemysłu zgłosiło się 459 osób, na biologię na 120 miejsc, 399.

Najmniej zgłoszeń mieliśmy na matematyce — 221 kandydatów na 170 miejsc, na fizyce 142 na 90 miejsc. Wymowne są tu inne liczby. Na matematykę nie zdały egzaminu 93 osoby, na fizykę 77, na historię spośród 138 zgłoszonych aż 73. To daje najlepsze pojęcie o przygotowaniu tegorocznych absolwentów szkół średnich. Niestety, nie było ono lepsze niż w latach ubiegłych, mówiąc krócej, było złe. Słabe wyniki na egzaminach z matematyki i fizyki jeszcze raz potwierdzają nie najlepsze przygotowanie kandydatów z przedmiotów ścisłych, co nie znaczy, że lepiej było z humanistycznymi (przykład — historia). Świadczą one o jeszcze jednym niepokojącym fakcie, że znacznie większy procent uczniów dobrych z przedmiotów ścisłych wybiera studia politechniczne, a nie uniwersyteckie. Przyczyna jest zupełnie prosta, decydują tu względy czysto finansowe.

Braki w przygotowaniu, wynikające z różnicy stylu między pracą szkoły średniej, a tym, czego wymaga się na uczelni, powtarzają się od lat. Kandydatów cechuje nieporadność w formułowaniu wiadomości, nieumiejętność odróżnienia ważnego od nieważnego, wreszcie skłonność do banałów. Podczas egzaminów z historii stwierdziliśmy żenującą zupełnie nieznajomość historii najnowszej u wielu kandydatów. Pewna pani uparcie twierdziła np., że Marian Spychalski jest w tej chwili ministrem spraw wewnętrznych. Ale nawet głupstwa były w tym roku dość szare. Egzaminy z języków obcych potwierdziły, że rewelacyjnych zmian w żałosnym poziomie nie ma w dalszym ciągu. A przecież tegoroczne egzaminy, oczywiście nie tylko z języków, nie były trudniejsze. I niesłuszne są poglądy, że wymagania jakoby wzrosły.

Przy obecnym wykształceniu, jakie daje szkoła, w szczególności przy cieplarnianej niemal atmosferze matur, nasze egzaminy konkursowe, choć i tak stawiamy wymagania minimalne, stanowią trudny próg dla absolwentów szkół średnich.

Chcę tutaj zaznaczyć, że nie widzę różnicy między przygotowaniem kandydatów ze szkół łódzkich i szkół z mniejszych miast, widoczna jest raczej różnica między określonymi szkołami. Różnica ta jest zresztą widoczna od lat.

Na uwagę zasługuje skład społeczny przyjętych, wśród których 57,24 proc. to młodzież pochodzenia robotniczo-chłopskiego.

Procent ten poważnie wzrósł w stosunku do roku ubiegłego. Najwyższy wskaźnik występuje na ekonomice przemysłu — 71,08 proc. i na geografii — 70,2 proc.

Na historii mamy 53,7 proc., na matematyce 50 proc., na chemii 50,6 proc., na fizyce tylko 45 proc., przy czym trzeba zaznaczyć, że podczas przyjęć na te kierunki punkty z tytułu pochodzenia nie odgrywały roli, ponieważ wszyscy, którzy zdali egzamin zostali przyjęci.

Na zakończenie chciałbym dodać, że pochodzenie robotniczo-chłopskie, w naszym wypadku, oznacza olbrzymią przewagę młodzieży pochodzenia robotniczego z terenu Łodzi. Bardzo mało kandydatów, podobnie jak i w latach ubiegłych, pochodzi z rodzin chłopskich.

PROF. DR ZOFIA JERZMANOWSKA PROREKTOR AKADEMII MEDYCZNEJ

O poziomie tegorocznych egzaminów wstępnych na Akademię Medyczną najlepiej świadczą liczby. I tak: na Wydział Lekarski zgłosiło się 644 kandydatów, w tym 410 dziewcząt. Egzaminu nie zdały 174 osoby, wśród tej liczby 84 chłopców. Na wydział ten przyjęliśmy 190 osób — w tym 96 dziewcząt. Na stomatologię mieliśmy 308 zgłoszeń, w tej liczbie 55 chłopców, z których 18 nie zdało egzaminu. Ogółem, na pierwszy rok studiów stomatologicznych zakwalifikowało się 67 kobiet i 15 mężczyzn. Wreszcie, na Wydział Farmacji na 244 osoby, 123 nie zdały egzaminu. Ze zgłoszonych 33 chłopców nie zdało egzaminu aż 20. Studia na tym wydziale rozpocznie 96 dziewcząt. I tyle danych liczbowych.

Wiadomość o tym, że w bieżącym roku podczas przyjęć będziemy preferować chłopców, nie wpłynęła dodatnio na ich przygotowanie do egzaminów. Trzeba stwierdzić, że dziewczęta były znacznie lepiej przygotowane, o czym zresztą świadczą wyniki. Wśród przyjętych na Wydział Lekarski — około 30 proc. kobiet uzyskało oceny dobre i bardzo dobre. Mężczyzn z równie dobrymi wynikami mamy tylko około 16 proc. Na stomatologii oceny takie zdobyło 5 kobiet, na farmacji 6, natomiast nie osiągnął tego żaden ze zdających mężczyzn, którzy jakoś zbyt bezkrytycznie potraktowali egzaminy na te dwa wydziały. Dużo gorsze przygotowanie chłopców jest faktem bardzo niepokojącym, zważywszy, że służba zdrowia, a w szczególności dyscypliny zabiegowe zgłaszają dość duże zapotrzebowanie na mężczyzn.

Podczas egzaminów można było stwierdzić, że na ogół lepiej zdają uczniowie ze szkół łódzkich. Oczywiście i wśród kandydatów z mniejszych miasteczek byli dobrze przygotowani, jednak łodzianie wykazali lepszy poziom. Ale i tak zjawił się tłum trójkowiczów, którzy nie brali pod uwagę faktu, że przystępują do egzaminu konkursowego. Ten brak krytycyzmu w stosunku do własnych wiadomości zemścił się podczas egzaminów.

Trudno jest mi porównywać tegoroczne egzaminy z latami ubiegłymi, ponieważ nasza uczelnia jako jedyna Akademia Medyczna w Polsce, przeprowadziła w tym roku egzaminy eksperymentalne, które polegały na zmianie dotychczasowej liczby pytań z 7, na 21. Były one jednak łatwe, dość proste, jasno sformułowane i wymagały krótkiej, ale mimo to precyzyjnej odpowiedzi. Z wieloma tego typu pytaniami młodzież nie umiała sobie poradzić. Z tymi kandydatami, którzy zdali egzamin pisemny, przeprowadziliśmy tzw. rozmowy dydaktyczne. Pytając o ich miasto rodzinne, jego znaczenie historyczne i rozwój w PRL, o książki, które czyta, o charakterystykę zawodu ojca, o podstawowe wiadomości z wiedzy o Polsce, chcieliśmy się zorientować w poziomie ogólnej wiedzy o współczesnym życiu i kulturze. I tu sporo było osób, które nie wiedziały, jak odpowiedzieć na żenująco proste pytania. Większość nie umiała sformułować odpowiedzi w sposób prosty i ścisły. Okazało się przy tym, że znaczna część młodzieży nie ma właściwie żadnych głębszych zainteresowań. I tu przechodzimy do problemów związanych ze szkołą średnią, która powinna już w pierwszych klasach ukierunkować zainteresowania swoich uczniów, wzbogacić ich język, wreszcie nauczyć ścisłych i precyzyjnych wypowiedzi. O tym, że szkoły zdają sobie z tego wszystkiego sprawę, świadczą tegoroczne wnikliwe opinie dołączone do dokumentów.

Ogólnie można powiedzieć, że średni poziom absolwentów szkół średnich jest w dalszym ciągu niezadowalający. Na efekty nowych programów, które zaczynają się pojawiać, trzeba będzie jeszcze kilka lat poczekać.

Natomiast ci, którzy w tym roku zostali przyjęci na Akademię Medyczną osiągnęli to dzięki rzetelnemu wysiłkowi i systematycznej pracy, a anonimowy, wielopytaniowy egzamin dał obiektywną ocenę ich wiadomości.

Chciałabym tu poruszyć jeszcze jeden, bardzo ważny problem, który dotyczy 7 punktów za pochodzenie społeczne. Komisje miały czasem do rozpatrzenia bardzo trudne sprawy, gdy np. kandydat był synem starego rzemieślnika z małej osady, który wyłącznie sam pracował fizycznie w swoim warsztacie, nie zatrudniając pracowników najemnych, a jego dochód roczny nie przekraczał 25 tysięcy. Czy w tym wypadku nie należałyby się również punkty za pochodzenie? Czy nie zasługiwałby też na preferowanie punktami chłopiec utrzymujący się od lat kilku z własnej pracy fizycznej, którego ojciec (główny żywiciel), były urzędnik, jest od dłuższego czasu na emeryturze.

Stojąc na stanowisku pełnej słuszności zarządzenia, aby ułatwić start dzieciom robotniczym i chłopskim, sądzę, że byłoby jednak wskazane, aby komisje rekrutacyjne mogły mieć większe uprawnienia. Stoją bowiem przed nimi często bardzo trudne problemy. Chodzi chyba o to, aby start ułatwić wszystkim, którzy z uwagi na trudne warunki, w jakich się wychowywali, najbardziej na to zasługują. I myślę, że problem ten wymaga wnikliwych przemyśleń i dyskusji.

TADEUSZ SZEWERA

„Niech wiatr ją poniesie..."

Nie grają nam surmy bojowe
I werble do szturmu nie warczą,
Nam przecież te noce sierpniowe
I prężne ramiona wystarczą.
Niech płynie piosenka z barykad,
Wśród bloków, zaułków, ogrodów,
Z chłopcami niech idzie na wypad,
Pod rękę przez cały Mokotów.

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc,
Tak w piersiach gra, aż braknie tchu,
Czy w słońca żar, czy w chłodną noc,
Prowadzi nas pod ogniem z luf.
Ten pierwszy marsz niech dzień po dniu,
W poszumie drzew i w sercach drży,
Bez próżnych skarg i zbędnych słów,
To nasza krew i czyjeś łzy.

Niech wiatr ją poniesie do miasta,
Jak żagiew płonącą i krwawą,
Niech w górze zawiśnie na gwiazdach,
Czy słyszysz płonąca Warszawo?
Niech zabrzmi w uliczkach znajomych,
W Alejach, gdzie bzy już nie kwitną,
Gdzie w twierdzę zmieniły się domy,
A serca z zapału nie stygną.

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc...
(itd.)

W godzinie „W", dnia 1 sierpnia 1944 roku, przystąpił do walki z wrogiem na Mokotowie pułk AK „Baszta" dowodzony przez ppłk. „Daniela" — Stanisława Kaminskiego. Dowódcą kompanii saperów wchodzących w skład tego zgrupowania był por. „Krzysztof" — Jan Markowski. To właśnie on, do słów napisanych przez „Karnisza" — Mirosława Jezierskiego, skomponował w pierwszych dniach sierpnia muzykę i tak powstał Marsz Mokotowa, przyjęty niebawem jako nieoficjalny hymn wszystkich powstańców walczących w Stolicy. Piosenka przedostała się rychło do zgrupowania powstańczego, działającego w rejonie Kampinosu, a stamtąd powędrowała do oddziałów partyzanckich Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich walczących na Ziemi Kieleckiej. Taka jest pokrótce historia jednej z najbardziej znanych pieśni Powstańczej Warszawy.

Ale dzieje narodzin piosenek, które towarzyszyły powstańcom w ciągu 63 dni heroicznej walki, nie ograniczają się wyłącznie do sierpnia i września 1944 roku. Ich rodowody, w niektórych przypadkach, są znacznie starsze.

W październiku 1942 roku Redakcja „Biuletynu Informacyjnego" — organu AK — ogłosiła konkurs na słowa do — 1) pieśni Polski Podziemnej — 2) marsza żołnierskiego oraz — 3) piosenki żołniersko-partyzanckiej. Teksty należało przesłać do Redakcji drogą konspiracyjną w terminie do 15 listopada. W numerze 49 tegoż pisma, z dnia 17. XI. 1942 roku, podano wyniki konkursu. Nagrodzono i wyróżniono 11 utworów, przy czym w kategorii piosenki żołnierskiej pierwsza nagroda, w wysokości 400 zł emisyjnych, przypadła autorowi ukrywającemu się pod godłem „A. G." za tekst pt. Szturmówka. Niebawem muzyk, zakonspirowany pod pseudonimem „Janosik", skomponował do słów melodię i „Szturmówka" wraz z nutami, jako wkładka, została dołączona do podziemnego wydawnictwa: drugiego z kolei zeszytu poetyckiego pt. „Werble Wolności", który ukazał się w Warszawie w styczniu 1943 roku. Poniżej tekstu Redakcja zamieściła wówczas taką oto uwagę: „Od czasu do czasu załączać będziemy do B.I. (Biuletynu Informacyjnego — wyj. T. Sz.) dodatek nutowy. Raz będą to piosenki na dziś — piosenki Polski Podziemnej, kiedy indziej będą to piosenki na jutro — piosenki Polski Powstańczej, Polski Wyzwolonej. Obowiązkiem tych, którzy umieją odczytywać nuty, jest wyuczenie tych melodyj swych znajomych". Po raz drugi opublikowano „Szturmówkę" w kwietniu 1943 roku w broszurce pt. „Pieśni zbrojne", w której zebrano plon konkursu, a następnie w lipcu tego samego roku „Szturmówka" doczekała się trzeciej edycji w konspiracyjnym „Śpiewniku domowym". Tak oto rozpoczęła się kariera jednej z pierwszych piosenek Powstańczej Warszawy. W roku 1944 powędrowała poza Stolicę ogarniętą pożogą wojenną i stała się własnością prawie wszystkich oddziałów partyzanckich. Ulegała nawet nieznacznym przeróbkom, jak na przykład w okolicach Radomska, w oddziale AK „Robotnika". Zamiast: „...na placówce pod Tobrukiem"... śpiewano tutaj „...na placówce pod Krzepinem".. Niektórzy sądzili, że narodziła się w jednostkach wojskowych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W błąd wprowadzała bowiem notatka, która drukowano zazwyczaj obok tytułu, że Szturmówka „powstała jako echo wiadomości z okresu walk Brygady Karpackiej w Libii". Tymczasem jej macierzystym miastem była Warszawa, a autorem — żołnierz Polskiego Podziemia, poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski, pseudo „Goliard".

Ej! po drogach dmie wichura,
Słota, błoto — ładny kram.
Lecz cóż znaczy dla piechura
Choćby nawet diabeł sam,
Choćby nawet diabeł sam.

Bo dla naszej kompanii szturmówej,
Nie ma przeszkód i nie ma złych dróg.
Kto na drodze, granatem wal w głowę!
I bywaj zdrów i prowadź Bóg!

Na placówce pod Tobrukiem
Wszak nie taki wietrzyk wiał —
Pod kul deszczem, pod bomb hukiem
Przecież Polak murem stał,
Przecież Polak murem stał!

Bo dla naszej kompanii szturmowej... (itd.)

Chłopie, coś pół schodził świata,
Żeby Polsce wolność nieść,
Nie ociągaj się u kata —
Śmiało — w polskie piachy leź,
Śmiało w polskie piachy leź!

Bo dla naszej kompanii szturmowej... (itd.)

Były fiordy, były lody,
Morza, zorze, śniegu baśń,
A gdy trzeba — to do wody,
A gdy trzeba w ogień właź,
A gdy trzeba w ogień właź!

Bo dla naszej kompanii szturmowej... (itd.)

Podobnym do „Szturmówki" literackim rodowodem legitymuje się inna piosenka, której popularność zrosła się nierozerwalnie z Warszawskim Powstaniem. Przypuszczam nawet, że była również owocem jakiegoś konkursu, organizowanego przez Polskę Podziemną, chociaż do tej pory nie natrafiono na źródła potwierdzające mój domysł. Jej autorem był młody poeta i prozaik Wacław Bojarski, należący do konspiracyjnej grupy „Sztuka i Naród", używający niekiedy pseudonimu „Marek Zalewski". Takim właśnie nazwiskiem podpisał poemat prozą pt. „Ranny różą", nagrodzony na konkursie literackim w Warszawie w maju 1942 roku. Wacław Bojarski był drugim z kolei redaktorem naczelnym podziemnego miesięcznika pt. „Sztuka i Naród". Zginął zamordowany przez hitlerowców w 1943 roku. Miał wtedy dopiero 22 lata. Pozostała po nim piosenka — o Natalii i uderzeniowym batalionie.

Raz batalion uderzenia,
Kiedy walił poprzez wieś,
Wychyliła się z okienka,
Panienka, panienka,
W piersi twarda, w sercu miękka
I westchnienia ku nam śle.
Więc batalion uderzenia,
Kiedy walił poprzez wieś,
Śpiewał chórem, śpiewał chórem,
Na Natalii pięknej cześć.

O Natalio, o Natalio,
Bez pamięci cię uwielbia nasz batalion.
O Natalio, o Natalio,
Pachniesz wiatrem, szumem leśnym i konwalią.
O Natalio, o Natalio,
To się musi skończyć raz,
Wybierz wreszcie kogoś z nas
I potraktuj go na serio.
I na wdzięków swych imperium
Zapanować komuś daj.

Panna dłonie załamała.
Jak jednemu serce dać?
Ja się przyznam wam nareszcie,
Ach wierzcie mi, wierzcie,
Wszystkim wam całusa dam.
Więc batalion uderzenia,
Kiedy przeszedł poprzez wieś,
Brzmiało echo, brzmiało echo,
Na Natalii pięknej cześć.

O Natalio, o Natalio... (itd.)

Nie wszystkie piosenki i pieśni Powstańczej Warszawy miały taki właśnie literacki rodowód, jak „Szturmówka", czy „Natalia". Większość z nich rodziła się już na barykadach w dniach sierpniowych i wrześniowych 1944 roku, w ogniu heroicznej walki o każdy dom, o każdą ulicę. Były wśród nich takie, które trwały chwilę, które żyły dotąd, dopóki nie padli wśród ruin i zgliszcz ci, dla których powstały, którym towarzyszyły w boju. Nie doczekały się sławy, nie wyszły poza barykadę, lub jedną ulicę. I były takie, które zostały z nami na zawsze. Nie tylko jako pieśni, lecz również jako bezcenne dokumenty narodowe.

Takie trwałe miejsce, obok już wymienionych dotąd — „Szturmówki" i „Natalii", obok „Marsza Mokotowa", „Warszawskich Dzieci", „Marsza Żoliborza" „Marsza Robotników Elektrowni" itp., zdobyły sobie piosenki wyrosłe ze zgrupowań Szarych Szeregów — konspiracyjnego harcerstwa. Do nich należy w pierwszym rzędzie „Hej chłopcy, bagnet na broń". Napisana została w roku 1943 i tak, jak „Marsz Mokotowa" uznany został za nieoficjalny hymn powstańców, tak ta piosenka stała się czymś w rodzaju nieoficjalnego hymnu podziemnego harcerstwa polskiego. Wprawdzie jej narodzinom patronowała grupa harcerska „Baszta" na Mokotowie, do której należała autorka, ale śpiewano ją przede wszystkim w grupach szturmowych „Zośki" i „Pegaza", bo taki jeszcze wówczas kryptonim miał późniejszy batalion „Parasola". Pod koniec 1943 roku przedostała się piosenka poza Warszawę i odtąd rozbrzmiewała w oddziałach partyzanckich nie tylko Armii Krajowej, ale także i Armii Ludowej oraz Batalionów Chłopskich na terenach tak zwanej Generalnej Guberni. Lecz pełną sławę zdobyła dopiero podczas Powstania i po jego upadku. Autorką była Krystyna Krachelska pseudo „Danuta", w czasie Powstania łączniczka dywizjonu „Jeleń" dowodzonego przez rtm. „Jeżyckiego" — Lecha Głuchowskiego. Ranna śmiertelnie w dniu 1 sierpnia w czasie natarcia plutonu ppor. „Wrony" na Dom Prasy przy ul. Marszałkowskiej 3/5, zmarła o świcie 2 sierpnia na terenie Politechniki, dokąd wycofały się skrwawione jednostki powstańczego dywizjonu. Warto przy tym pamiętać, że Krystyna Krachelska pozowała przed wojną głośnej rzeźbiarce Nitschowej do rzeźby Syreny stojącej nad Wisłą.

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga, daleka przed nami,
Mocne serce, a w ręku karabin,
Granaty w dłoniach i bagnet na broń!

Jasny świt się roztoczy,
Wiatr owieje nam oczy
I odetchnąć da płucom i rozgorzeć da krwi
I piosenkę jak tęczę nad nami roztoczy
W równym rytmie marsza: raz! dwa! trzy!

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga, daleka, przed nami trud i znój,
Po zwycięstwo, my młodzi, idziemy na bój.
Granaty w dłoniach i bagnet na broni!

Ciemna noc się nad nami
Roziskrzyła gwiazdami,
Jasne wstęgi dróg w pyle, długie noce i dni.
Młoda Polska zwycięska jest w nas i przed nami
W równym rytmie marsza: raz! dwa! trzy!

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Bo kto wie czy to jutro, pojutrze, czy dziś,
Przyjdzie rozkaz, że już, że już trzeba nam iść,
Granaty w dłoniach i bagnet na broni!

Z tego samego kręgu Szarych Szeregów wyrosły dalsze piosenki, a więc „Deszcz jesienny" — tak popularny w zgrupowaniach Kampinosu, „Dorota" — śpiewana przez młodziutkich podchorążaków z konspiracyjnej Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty Szarych Szeregów „Agrikola", „Zośka" — hymn harcerskiego batalionu szturmowego, nazwanego tym kryptonimem od pseudonimu pierwszego jego dowódcy, harcmistrza Tadeusza Zawadzkiego, który poległ 20 sierpnia 1943 roku pod Sieczychami w czasie zdobywania posterunku żandarmerii. Wreszcie, do pieśni harcerskich oddziałów walczących w Powstaniu, zalicza się „Pałacyk Müchla" — hymn batalionu „Parasol". W Szarych Szeregach skupiła się młodzież utalentowana literacko, z nich wywodzili się przecież najwybitniejsi poeci młodego pokolenia wojennego. Z konspiracyjnej podchorążówki „Agrikola" wyrósł nie kto inny, jak pchor. „Krzysztof" — Krzysztof Kamil Baczyński, najpierw żołnierz batalionu „Zośka", a w czasie Powstania dowódca drużyny w batalionie „Parasol". To właśnie jego pióra były słowa do piosenki „Barbaro, o Barbaro". Kiedy poległ, ten najwybitniejszy poeta okupacji, liczył zaledwie 23 lata.

Harcerski batalion „Parasol" powstał w czerwcu 1944 roku. Wywiódł się z batalionu „Zośka", gdzie stanowił kompanię wydzieloną pod kryptonimem najpierw „Pegaz", a później „Agat". Dowódcą nowej jednostki został kpt. „Pług" zastępca ppor. „Jeremi" — Jerzy Zborowski. Jego żołnierze nosili na mundurach — tak zwanych panterkach — odznakę batalionową: czerwoną parasolkę. W pierwszej kompanii „Rafała" znalazł się pchor. „Ziutek" — Józef Szczepański, nazywany popularnie „pieśniarzem Parasola". To on właśnie, w pierwszych dniach powstania, pełniąc służbę ze swą drużyną na terenie pałacyku Müchla, skomponował głośny hymn batalionu. Poległ w pierwszych dniach września 1944 roku w rejonie pałacu Krasińskich, gdzie toczyły się ciężkie walki i gdzie jeszcze 1 września, po ciężkim bombardowaniu i ostrzale z czołgów niemieckich, śmiałym atakiem zdołał wyprowadzić resztki skrwawionego „Parasola" z terenu pałacu Krasińskich do gmachu Sądu Apelacyjnego przy ulicy Długiej. Jego piosenka „Pałacyk Müchla" przetrwała wszystkie burze i weszła na zawsze do dokumentów Powstania. Ale jest jeszcze jedna piosenka „Parasola" pt. „Chłopcy silni jak stal", mniej głośna, a przynajmniej na pewno zapomniana. Nie znam ani daty, ani miejsca, gdzie się narodziła. Nie wiem, kto był jej autorem. Jedynie ze stylu wnioskuję, że wyszła także spod pióra pieśniarza batalionu pchor. „Ziutka" — Józefa Szczepańskiego.

Chłopcy silni jak stal,
Oczy patrzą się w dal,
Nic nie zrobi nam wojny pożoga,
Hej, sokoli nasz wzrok,
W marszu sprężysty krok
I pogarda dla śmierci i wroga.

Gotuj broń, naprzód marsz ku zwycięstwu!
Stęny w dłoń, krew ci gra boju zew.
Chłopcy silni jak stal,
Oczy patrzą się w dal,
A na ustach bojowy ich śpiew.

Godłem nam Biały Ptak,
A Parasol to znak.
Naszym hasłem piosenka szturmowa.
Pośród bomb, huku dział,
Oddział stoi jak stał,
Chociaż chłopców poległa połowa.

Dziś padł on, jutro ja, śmierć nie pyta.
Naprzód marsz, krew ci gra boju zew!
Chłopcy silni jak stal,
Oczy patrzą się w dal,
A na ustach szturmowy ich śpiew.

A gdy miną już dni
Walki, szturmów i krwi,
Bratni legion z tułaczki gdy wróci,
Pójdzie baon z paradą,
Alejami, gromada
I tę piosnkę szturmową zanuci.

Kwiatów moc, panien rój i sztandary,
Jasny wzrok, śmiały krok, bruk aż drży.
Alejami z paradą
Będziem szli defiladą,
W wolnej Polsce, co wstanie z naszej krwi.

Słowa i melodię piosenki „Chłopcy silni jak stal" przekazał mi p. Mieczysław Kozak zam. w Łodzi. (T. Sz.)

Wspomnienia robotnika

Dalszy ciąg ze str. 1

Na tym posiedzeniu czekał już Sapata Józef i Gasior Zygmunt i mój brat Aleksander. Feliks Papliński oświadczył, że przybyliśmy w takiej a takiej sprawie i rozpoczęliśmy posiedzenie. Powiedział jakie znaczenie będzie miało dzisiejsze posiedzenie — założenie organizacji partyjnej, wybranie sekretarza. Wszyscy byliśmy KPP-owcami. Tow. Papliński powiedział, że musi powstać partia, musi powstać oddział zbrojny, który będzie toczył walkę z okupantem i że musimy wciągnąć do tej walki cały naród. Na tym posiedzeniu wyjął program naszej partii — to było na emulsji, to był maleńki mikrofilm zwinięty w munsztuku od papierosa. Ja przygotowałem do odczytania lupkę zegarmistrzowską. Najmłodszy z nas został wybrany do odczytania, bo miał najlepszy wzrok. Odczytał program Zygmunt Gasior. Program był podpisany przez tow. Dymitrowa. Pisało tam, że powołuje się do życia Polską Partię Robotniczą, która z kolei powoła organ wojskowy — Gwardię Ludową, która będzie miała za zadanie wystąpić 15 maja, która będzie walczyć przeciwko okupantowi i spowoduje wciągnięcie do walki całego narodu.

* * *

ADRES mój i mego brata przekazane zostały do Warszawy. Początkowo zaczęły przychodzić z Warszawy biuletyny, a później prasa — „Trybuna Wolności", a w maju zaczął przychodzić „Gwardzista", który wydawany był w formie broszurki-zeszytu, miał 8 stron. Prasę te przywoziły kurierki. Jedna była bardzo sprytna, potrafiła raz wyskoczyć z pociągu w biegu i w ten sposób uciekła Niemcom. Miała dwadzieścia kilka lat. Druga była wysoka, chodziła w futrze. Też musiała kiedyś wyskoczyć z pociągu i zwichnęła sobie nogę. Prasę przywoziły w walizce, która miała dubeltowe dno. Ja rozdzielałem prasę na Piotrków, Końskie i Częstochowę. Prasę ukrywaliśmy w pudełkach blaszanych po ogórkach (10 kg). W marcu przeniosłem również broń z drwalki na działkę. Nikt o niej nie wiedział oprócz mnie i Paplińskiego.

Zgodnie z planem 15 maja oddział zbrojny miał rozpocząć walkę. Ale nie mieliśmy ludzi, nie mieliśmy komendanta, nie chcieliśmy ludzi nie naszych. Żaden z nas nie był w wojsku, bo jak ktoś był KPP-owcem przed wojną i włóczył się po więzieniach to nie nadawał się już później do służby wojskowej. Tow. Papliński w tym czasie przebywał u swej siostry w Piotrkowie. W marcu o godz. 4 rano wpadł do mnie zziajany, z niezasznurowanymi butami. Co się okazało? W Piotrkowie został w krótkim czasie rozpoznany. Rano więc tow. Papliński wyjechał do Warszawy. Ale po dwóch tygodniach sprawa przywlokła tow. Paplińskiego do nas z powrotem. Tow. Papliński opowiadał po powrocie, że był w Rzeszy, nawiązał tam kontakt z towarzyszami, był w Łodzi.

* * *

POWIEDZIAŁ do mnie, że musimy ustalić już hasło — bo będą przyjeżdżać towarzysze z Warszawy do oddziału. Najpierw przyjedzie komendant, jego zastępca i instruktor. Ustaliliśmy hasła i pseudonimy. Ten kto powie, że przyjechał od cioci z Warszawy to będzie ten. „Pozdrowienia od cioci. Bardzo nam przyjemnie. Jak się ciocia ma". Pseudonimy: komendant przedstawił się jako „Mały Franek", jego zastępca — nie pamiętam pseudonimu, bo spotkałem się z nim tylko trzy razy, instruktor miał pseudonim „Roman", to był student z Warszawy, był bardzo szczupły, bo był chory na płuca. Przyjechał więc Mały Franek, Rostowski i Niemydliński. Po zameldowaniu się u nas, żona zaprowadziła ich na kwatery i porozmieszczała ich w familiakach. Przede wszystkim zapoznaliśmy ich z towarzyszami. Posiedzenia partyjne odbywały się w owym czasie u Stobieckiego Mariana i Poczwarskiego Mariana, który wrócił z niewoli i nie chciał być w domu, bo nie chciał pracować dla Niemców. Przebywał więc u swej siostry na wsi. Swoje mieszkanie zaś oddał nam do dyspozycji — w jego mieszkaniu odbyła się przysięga, przyjmowana przez tow. Sowińskiego Józefa, który był naszym instruktorem z ramienia gwardzistów. Stanęliśmy wszyscy na baczność, jeżeli była większa grupa jeden powtarzał słowa przysięgi. Ze słów pamiętam: „Ja syn ludu polskiego przysięgam, że będę wiernie walczył do ostatniej kropli krwi i nie zdradzę choćbym był najmocniej katowany...".

* * *

MAŁY Franek był niski, szczupły, blondyn. Miał niebieskie oczy i przyjazną, uśmiechniętą twarz. Miał około 27 lat. Niskiego wzrostu, w studenckiej czapce, ubrany skromnie. Robił wrażenie miłego chłopca, małomówny. Zastępca komendanta i instruktor byli również w podobnym wieku.

Niemydliński mieszkał u mnie, to był — jak się to mówi — swój człowiek. Po każdej akcji wszystko szczegółowo mi opowiadał. Z jego opowiadań mogłem odtworzyć historię działalności oddziału dla Komitetu Centralnego. Pierwsze potyczki mieli w maju. To były małe oddziały. O co chodziło naszym ludziom? Najpierw towarzysze rozeszli się w terenie, żeby porobić obserwację. Pewnego razu znaleźli się w puszczy niedaleko Spały. W lesie zatrzymali ich trzej policjanci. Wzięli ich za złodziei leśnych. Chcieli ich aresztować, ale Mały Franek powiedział tak: — „Nie jesteśmy złodziejami, jesteśmy wojskiem polskim i wy jako policja granatowa nie powinniście służyć okupantowi, ale nam pomagać". Jeden z policjantów schwycił za kamień i zamierzył się nim, ale Mały Franek wyciągnął pistolet i zastrzelił go. Dwaj pozostali policjanci widząc, że jeden padł martwy poddali się, powyciągali zamki, naboje. Nasi partyzanci chcieli im połamać karabiny, bo długa broń wówczas nam nie była jeszcze potrzebna, ale policjanci zaczęli prosić, że Niemcy wyślą ich za to do obozu. Po tym wydarzeniu nasz oddział chwilowo zaprzestał działalności. Ja w tym czasie zajmowałem się rozprowadzaniem prasy. Ludzie, którzy przyjeżdżali z Warszawy do oddziału byli tylko na kwaterach i chodzili na wywiad. W czerwcu przyjechał do mnie tow. Papliński. Uzgodnił ze mną hasło o wydaniu broni. Powiedział, że przyjedzie tu jeden towarzysz — pseudonim „Józef", dokładnie mi go opisał — niski, krępy. Ustaliliśmy hasło: „przyjechałem po armaty". O przyjeździe Józefa dostał wiadomość mój brat, zawiadomił mnie i wyszliśmy na spotkanie. Z daleka zobaczyliśmy człowieka, którego wygląd zgadzał się z opisanym przez tow. Paplińskiego. Zapytał nas o ulicę, na której mieszkałem. Ja odpowiedziałem, że idę w tym kierunku, pożegnałem się z bratem i ruszyłem z tow. Józefem, kiedy byliśmy już przy moim domu towarzysz Józef zapytał jednego z przechodniów o moje nazwisko. Wówczas mu powiedziałem, że to ja jestem. Kiedy przyszliśmy do mego domu wziąłem szpadel i mówię — chodź ze mną na działkę, bo tam jest moja żona, a u niej jest klucz. Na działce tow. Józef usiadł na ławeczce. Wtedy zapytałem go po co on przyjechał. Odpowiedział mi hasłem: że przyjechał po armaty. Wówczas wykopałem broń, tow. Józef włożył ją do teczki. Żonę w tym czasie wysłałem do domu, żeby przygotowała obiad.

* * *

TOW. Mrożek wziął kosę na ramię, zapomniał nawet swej czapki z rogożyny i poszedł w kierunku lasu do Meszcz. Zadaniem było — zrobienie leśniczówki. Ja już o tym wiedziałem. Bo do mnie przyjechali przedtem na dwa dni Mały Franek i Niemir Bieliński. Ja miałem tej nocy czuwać — w wypadku gdyby byli ranni miałem ich przyjąć na kwaterę. Bieliński miał mi przekazać pieniądze skonfiskowane w leśniczówce. A ja miałem je odesłać dalej. To był dziewiąty czerwca. Dziesiątego czerwca rano wchodzi do mnie Bieliński, cały zmoknięty, bo to była bardzo dżdżysta noc. I opowiedział mi przebieg tej akcji. Że zdobyli leśniczówkę, pieniądze skonfiskowali. Leśniczy nazywał się Kozłowski. Żona leśniczego dała im na drogę chleba, partyzanci zaś pokwitowali skonfiskowane pieniądze. Pieniędzy było mniej niż się spodziewali i pieniądze już poszły dalej.

Jak wyglądała akcja? Oddział podzielił się na dwie grupy. Było ich czternastu. Jedna grupa poszła z zastępcą Rostowskim, a druga z Małym Frankiem. Gasior Zygmunt — brat żony pracował na kolei, on się skontaktował z dwoma znajomymi — Majchrzakiem i Przybylskim, oni nie mogli patrzeć na to, że musieli czekać z bronią u nogi bezczynnie i czekać aż dwóch wrogów się wykrwawi — jak podawała ich prasa. To byli inspektorzy kolejowi — widzieli więc jak szły transporty do Niemiec i nie mogli na to patrzeć. Oni byli nam pomocni. Dostarczyli Gasiorowi, a Gasior nam klucze do rozkręcania szyn. Tymi kluczami nasi ludzie rozkręcili szyny niedaleko Moszczenicy, w lesie — dlaczego tam? — bo pociągi najlepiej wykolejać w niskich terenach, żeby zablokować na jak najdłużej trasę. Tą grupą kierował Rostowski. Co się działo z grupą Małego Franka w tym czasie nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy jedynie, że mieli oni wpaść do wsi Polichno do tamtejszych kolonistów niemieckich, żeby ich trochę pogimnastykować, żeby nie dokuczali ludności polskiej. Podjechali zatrzymanym pociągiem towarowym do Rozprzy, tam kazali maszyniście zwolnić, wyskoczyli przed dworcem i poszli w stronę lasów lubieńskich. Przez lasy lubieńskie dotarli do wsi Antoniew, gdzie mieli czekać na Małego Franka. I co się stało? Tamci czekali i nie mogli się doczekać. Byli w stodole chłopskiej. Jeden z nich był Rosjaninem — uciekinierem z obozu jenieckiego. A w tym czasie Mały Franek zrobił trochę szumu w Polichnie. Kazał sobie nawet Niemkom ugotować kolację. Nie zauważyli jak jeden z Niemców uciekł i zawiadomił gestapo. Po kolacji nasi chłopcy poszli do lasu. Okazało się jednak że skonfiskowanych pieniędzy było tylko pięć tysięcy złotych. Wzięli więc te pieniądze na wyżywienie oddziału. Zaraz na brzegu lasu chłopcy zażądali odpoczynku, chcieli się przespać. Rozstawili więc warty. Rosjanin — Mikołaj był na pikiecie, miał on zapukać w razie niebezpieczeństwa. Byli oni pod Polichnem, niedaleko wsi Budy. Gdy Mikołaj zapukał, to oddział gestapo był już bliziutko na czele z szefem gestapo. Mrożek który był doradcą wojskowym polecił Frankowi nie strzelać ale ten pierwszy raz oko w oko spotkał się z wrogiem i wypalił. Kiedy Mrożek stwierdził, że grupa jest już ujawniona wtedy bez namysłu zaczął również strzelać i zabił tłumacza Onkla oraz oficera — szefa gestapo Eichmana. Początkowo myślał, że zabił, później okazało się że tylko ranił. Powiedział więc do Franka: — „Ty wyprowadzaj ludzi żytem, a mnie zostaw".

* * *

W TYM czasie zginęło trzech gwardzistów. Mrożek wycofał się również potem do żyta, na czworakach i został postrzelony w piętę. Skrył się w życie. Niemcy tam nie szukali, szukali natomiast w lesie. Doczołgał się do wsi Budy do jednej chałupki i prosił, żeby go opatrzono, nie chciano mu jednak nawet otworzyć. Ale poszedł dalej i jeden biedny chłop otworzył. Opatrzył go. Doczołgał się więc do lasu i zaszył w chrust. Jeden z drwali leśnych zauważył go i zaraz zaalarmował volksdeutscha, który był nadzorcą a ten z kolei zaraz wysłał po gestapo. Wzięli go więc do piotrkowskiego więzienia, tam — jak opowiadał — przykuli go do rury w piwnicy i szczuli psem. Mnie tak samo szczuli. Ten pies rozrywał ciało jak jakąś szmatę. Bili go, gdy tracił przytomność, oblewali wodą i od początku. Przyjechała żona tego zabitego tłumacza i chciała zobaczyć mordercę swego męża. On był pierwszym schwytanym, ale przy nim broni nie znaleźli dlatego, że tak wystrzelał wszystkie naboje, schował broń pod murawę, ale psy znalazły tę broń. On jednak wyparł się że był jej posiadaczem. Opatrzyli mu ranę, przyjechał po niego szef gestapo z Radomia — bo to był pierwszy wypadek walki zbrojnej i zabrał go do więzienia w Radomiu. Po paru tygodniach otrzymaliśmy grypsa z więzienia. Pisał, że pozdrawia was ten, który zostawił u was czapkę w ogrodzie. Ja mu zaraz wysłałem paczkę do więzienia, koszulę. Bieliński był postrzelony w muskuł. Mrożek potem był wysłany do Oświęcimia.

Mały Franek pokazał się u nas dopiero po tygodniu, ranny w plecy, w okolicy nerki. Przyjechał do Piotrkowa na leczenie. Leżał więc przeważnie w ogrodzie na hamaku i czytał książki o walkach partyzanckich w mieście.

* * *

MAŁY Franek chorował tydzień, kiedy przychodził do zdrowia zaczął znów wychodzić w teren. Córki mówiły na Małego Franka wujek. W lipcu uplanowali spalić niemiecki młyn Neumanna. Za co spalić? Za to, że Niemcy na wsi tłukli żarna. Nasza organizacja powstała już z naszej grupy, już nie z warszawiaków, bo tylu ich już zginęło, niewielu pozostało.

Ten młyn Neumanna miał być spalony w lipcu. Ja miałem zmianę do 24, a mój brat rozpoczynał o 24. Tego wieczora było zaciemnienie, bo był nalot. Huta tonęła w ciemnościach, więc wcześniej kończyliśmy pracę. To była mniej więcej godzina 23.30. Kiedy wyszedłem z huty widziałem pożar tego młyna. Ja miałem polecenie pozostawienia drzwi otwartych w domu na wypadek gdyby byli ranni. Ja zapytałem brata „czy ty wiesz co to się może palić?" A on odpowiedział: „tak miarkuję, że pomiędzy Kulisami a Przygłowiem". Ja odpowiedziałem: „zgadłeś, bo tam się młyn pali". Majchrzak i Przybylski dostarczali nam termitówki. Jedną termitówką Mały Franek spalił właśnie młyn. Jak się okazało termitówki nie były takie jak powinny być. Bo Franek nastawił na godzinę trzecią rano, żeby oddział jeszcze pod osłoną ciemności mógł odejść, a tymczasem jeszcze dobrze nie oddalili się od młyna, a już się zrobiło widno. W oddziale powstał popłoch, niektórzy rzucili się do wody. W tej akcji było również paru warszawiaków.

* * *

OD Anastazego Kowalczyka wiedziałem, że mam ich zaopatrzyć w broń i mam powiedzieć Małemu Frankowi, żeby szedł pieszo z ludźmi do Tomaszowa. Była to broń krótka — kilka pistoletów (trzy) i granaty ręczne. Granatów było kilka sztuk i granaty zaczepne tzw. filipinki. Otrzymali również termitówki do zapalania obiektów. Mieli za zadanie iść pieszo do Tomaszowa i tam się połączyć z grupą warszawską i tomaszowską, zniszczyć most kolejowy na Pilicy i magazyny wojskowe w Tomaszowie. To było 5 sierpnia. 6 sierpnia znaleźli się w Tomaszowie. Co się okazało. Z tej akcji powrócił do mnie Kowalczyk i Korekta. Jak się okazało, oni nie poszli, a pojechali do Tomaszowa. Pierwszy wrócił Kowalczyk i on mi powiedział, że Mały Franek został zabity i żebym był przygotowany na przyjęcie nowego komendanta.

* * *

O PIĄTEJ rano szykowałem się do pracy. Usłyszałem jakieś głosy na podwórzu i ujrzałem gestapowców pod moimi oknami, z automatami i z granatami za pasem. Umówiłem się z żoną, że będziemy milczeć, nawet gdyby nas zabili.

(STENOGRAM)

Gondole na bajorze

Dalszy ciąg ze str. 1

nauczy pod ziemię kryć z gniewem i być, jak otchłań w myśli niedościgły... I dalej. Postać nieć skromną niby wąż...". Także propozycja. A każda z nich gotowa, uklepana, gładka, tylko brać. I każda z nich fałszywa — dodaje nagle z pasją. — Więc wyspecjalizować się w strzelaniu, jak Wilhelm Tell, albo, co lepsze pójść na machlojki, zrobić pieniądze, potem obuć nogę w ciężki but, patrzeć, jak niektórzy przyprawiają sobie garby i śmiać się rechotem doktora Mabuse... Słuchaj, dlaczego tak rzadko pisze się recepty dla zwykłych ludzi? Nie o to mi zresztą idzie. Jeśli się czyta książki tak, jak by się gryzło orzechy to się sporo spraw dostrzega, ale nawet jeśli się już coś dostrzeże, to należy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chciałby człowiek być takim, jak ci, których się boją, a których zna osobiście. Kiedy już nauczyłem się tak czytać i tak myśleć, wracałem do niektórych książek, czasem tylko do paru zdań. Szczególnie dużo myślałem przy miotłach. Robienie mioteł nie zaprząta głowy.

— Wiem — mówię. I nagle wydaje mi się, że wypowiadam najgłupsze słowo jakie wymyślono.

Tadek opowiada, a ja usiłuję to sobie wyobrazić. W łozach wciąż śpiewają słowiki. Dziwna ta rozmowa.

Na pomysł wyrobu mioteł wpadł niejaki B. z pobliskiej wioski, przedsiębiorca od siedmiu boleści. Sprzedawał je później w powiecie. Przynosił Tadkowi gotowe obdzierzgane rózgi, a on formował je i wiązał drutem. Praca ta miała wiele zalet. Po pierwsze była pracą chałupniczą, po drugie można było przy tej pracy od czasu do czasu pobujać kołyskę. Robił tak: Zdrową ręką kładł na stole pęk rózeg; formował je, podkładał wygięty w półkole drut, po czym jeden koniec drutu chwytał zębami. I właśnie przy tych miotłach myśl uderzyła o myśl. Musiały być szczególnie bolesne bo aż drgnął. Zęby nie wytrzymały, drut też.

Próbuję wyobrazić sobie Tadeusza młodszego o siedem lat, schylonego nad tymi miotłami, z głową płonącą, pełną szarpiących się myśli, walczącego o swoje człowieczeństwo i całe przyszłe życie. Próbuję wyobrazić go sobie w tej walce z głową pełną szarpiących się światów, samotnego w spokojnej wiosce, w której absolutnie nikt nie miał pojęcia, że oto, w jednej z chałup toczy się walka odwieczna, najtrudniejsza i najbardziej heroiczna. Kogóż zresztą mógł obchodzić ten chłopak w wiosce zajętej sprawami podstawowymi, udojem dziennym, podorywką i nawożeniem.

Wobec takich ludzi jak Tadeusz miasto bywa obojętne, wieś jest okrutna — powiada obiegowe porzekadło i nie więcej w nim prawdy, niż w twierdzeniu odwrotnym.

W południe zjawił się „B". Przyjechał po zamówioną partię mioteł. I gdyby od tego czasu Tadeusz znienawidził ludzi byłaby to uzasadniona prawidłowość.

— Toś stracił u mnie zarobek, Cwaj-łapka, bez ząbków nie możesz pracować — roześmiał się największy w powiecie producent mioteł.

Wieczorem wszakże odwiedził go ponownie w towarzystwie dwóch chłopaków z tej samej wsi. Szedł z tyłu, nieco skonfundowany. Był to rok 1957. Właśnie powstał Związek Młodzieży Wiejskiej. Pan „B" nie wiedział co to za organizacja, wolał być ostrożny i stał skromnie w progu.

— Nie będziesz więcej robił tych mioteł — powiedział jeden z chłopców.

— Panowie zlitujcie się — zawołała matka Tadeusza. Przecież jesteśmy sąsiadami...

— Chciałem mu pomóc, to wszystko, matka świadkiem, bo widzę, że kulas i nie tylko kulas, ale i Cwaj-łapka.

— Za te przezwiska to my z panem do sądu nie pójdziemy, ale dobrze to się nie skończy — powiedział drugi chłopiec.

W głowie Tadka znowu zderzyły się myśli. Ci ludzie zabierali mu zarobek, ale jednocześnie myśleli o nim tak, jak on sam już o sobie nie myślał. Nieśmiało, wierzchem dłoni, tak żeby nikt nie widział, dotknął kurtki jednego z nich.

Drugi z chłopaków tłumaczył matce:

— Od przyszłego miesiąca Tadek będzie miał własne pieniądze. Otrzyma zasiłek. I to na razie wszystko. Aha! — jeszcze książka.

Wyszli żegnając go mocnym uściskiem dłoni.

Członkowie koła ZMW we wsi N. przyszli także nazajutrz.

— Musisz nam pomóc — powiedzieli. — Organizujemy festyn, wielką uroczystość z muzyką i dekoracjami. Ty podobno ładnie rysujesz. Wszyscy już czekają nad strugą.

Tadek nie wiedział, że kilka minut wcześniej jego rozmówcy tak instruowali zebraną nad strugą młodzież: „Choćby ta próba się nie udała. Choćby te rysunki, czy dekoracja były nie wiadomo jak złe, jeśli który warknie, albo się roześmieje wyskoczy z Organizacji na zbity pysk. Pamiętajcie, że to nasza wspólna decyzja...".

Znam tę scenę z ust tych, którzy ją reżyserowali. Kiedy byłem w N. po raz pierwszy opowiadano mi ją w wielkiej tajemnicy. Ciekawe, czy wie o niej również Tadek.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Potomkowie Fenicjan

Po jedenastu dniach podróży morskiej, wreszcie ujrzeliśmy z daleka brzegi Libanu. Nie była to jeszcze radość rozbitków na widok lądu, niemniej spragnieni już byliśmy dotknięcia stopą lądu. Płynęliśmy prosto na Bejrut, widok był piękny. Liban wygląda bardzo malowniczo w blasku popołudniowego słońca. Złotą poświatą lśnią wieżyczki meczetów, w górę wystrzelają imponujące nowoczesne wieżowce, wydłużonym cyplem wrzyna się w morze budująca się obecnie nowoczesna dzielnica hotelowo-turystyczna. To wszystko na malowniczym tle lekko zamglonych gór Libanu. Na bejruckim lotnisku co kilka minut lądują i startują samoloty wszystkich linii świata. Bejrut, jeden z największych portów we wschodniej części Morza Śródziemnego, skrzyżowanie szlaków komunikacyjnych, nie dał się pokonać konkurencji nowo rozwijających się portów arabskich i przeżywa dziś pełny rozkwit.

Pewnie dlatego przez dwa dni musieliśmy czekać na kotwicy na wejście do portu, nie samotnie zresztą, nasz los podzielały też statki innych bander, zakotwiczone w oczekiwaniu na swoją kolejkę. Chcąc niechcąc skazani więc byliśmy na kontemplowanie panoramy rozciągniętego wzdłuż wybrzeża morskiego krajobrazu. Widok był szczególnie atrakcyjny wieczorem, kiedy rozbłyskiwały wielobarwne, tyle wymyślne, co ogromne neony, migotały gęste światełka okien domów i lokali. Górski teren, w kilku poziomach pocięty liniami autostrad wyglądał jak opasany migocącą nieustannie wstęgą ruchomych światełek. Taki efekt dawały przesuwające się po drogach samochody.

Nic dziwnego, że kiedy wreszcie dobiliśmy do portu, żądni wrażeń i obejrzenia z bliska tego Paryża Wschodu — jak lubią swą stolicę nazywać Libańczycy, natychmiast wyrwaliśmy się do miasta.

Kto w Bejrucie chce poznać smak Orientu — musi pójść najpierw do arabskiego bazaru, mieszczącego się w pobliżu dzielnicy portowej. Bazar zajmuje sporą przestrzeń, zamkniętą ulicami i otoczoną domami. Ma kształt szachownicy pociętej rzędami straganów i sklepików, te ostatnie zresztą całe swoje bogactwo też wykładają na zewnątrz. Na bazarze można kupić wszystko. Masa towaru, tłum kupujących, kibicujących i sprzedawców (ci ostatni skutkiem swojej aktywności sprawiają wrażenie, że jest ich trzy razy więcej niż jest rzeczywiście), utrudniają przeciskanie się między straganami.

Tu się handluje! Wystarczy spojrzeć na jakiś przedmiot, a już się ma go w ręku, już sprzedawca zachwala mieszaniną paru języków europejskich, obserwując, na które oszołomiony kupujący reaguje. Kontakty z naszymi krajami sprawiły, że przekupnie nauczyli się kilkunastu słów w każdym języku słowiańskim. Jedni mówią trochę po rosyjsku (jego prababcia była Rosjanka), inni po polsku (szwagier był w armii Andersa) — byle interes się rozwijał. Kiedy przeciskamy się między arabskim tłumem, wołają za nami pytająco: „kolega?". „Nie dla ciebie" burczy mój towarzysz pod nosem. Słuch mają doskonały. „Nie?", dziwią się grzecznie.

Na tym bazarze można robić wszystko, czego się nie robi w naszych sklepach: grzebać w stertach towaru, przebierać, grymasić, oglądać, przymierzać i — na koniec niczego nie kupić. Nie wolno tylko jednego: pokazać, że się coś podoba. Bo wówczas płaci się potrójną cenę. Targować się trzeba. Nie szanują takiego, co się nie targuje. Pozbawia ich radości wypływającej z uprawiania handlu jako sztuki. Bardzo nas to bawi. Więc targujemy się dla rozrywki, kiedyż trafi się następna okazja? Widocznie jednak przeholowaliśmy, sprzedawca denerwuje się: „Ty nie jesteś Polak!" — usiłuje obrazić mojego towarzysza, za jego handlową szarżę. Po czym, ku naszemu największemu zdumieniu, sprzedaje nam za „nasza" cenę rzecz, której wcale nie chcieliśmy kupić. Dobrze nam tak.

Pół godziny w tym orientalnym folklorze handlowym całkowicie wystarcza. Rozbolała mnie głowa od gwaru tego rozkrzyczanego, natrętnego tłumu, przewalającego się wśród straganów. Jeszcze trochę, a zacznę tęsknić do naszego uspołecznionego handlu, a to zły znak. Dla poprawienia wrażenia idziemy do tzw. bazaru francuskiego. Mieści się w dzielnicy europejskiej i nosi inny charakter. Nie ma tu krzykliwego tłumu, sprzedawcy nie gonią klientów, za to wszystko znacznie droższe i napisy „fix prices".

* * *

Bejrut jest miastem handlowym, myślę, że Liban jest krajem handlowym. Nie darmo w starożytności główną część tego terenu zajmowali Fenicjanie. W centrum miasta, dosłownie co kilkadziesiąt metrów, cambio — punkt wymiany pieniędzy. Niemal wszystkie waluty świata można tu wymienić na funty libańskie. Co dzień wywiesza się listy z aktualnymi notowaniami.

Rozwój innych portów arabskich stanowi zagrożenie dla światowego znaczenia Bejrutu. Aby nie dopuścić do degradacji miasta, sprostać rosnącym wymaganiom, Libańczycy dopuszczają obce kapitały, szczególnie do inwestycji przemysłowych i turystycznych. W najpiękniejszej części wybrzeża rozbudowuje się nowoczesna, luksusowa dzielnica hotelowa (już dziś Bejrut ma ponad 200 hoteli). Dzielnica rośnie wzwyż. Ulice stosunkowo wąskie. Tłumaczy się to wysoką ceną ziemi. Yard kwadratowy (91 cm kw.) kosztuje tu 8 tys. funtów, czyli ok. 2.700 dolarów. Hotele odpowiadają wszelkim wymogom nowoczesności, są piękne, reprezentacyjne, plaża znakomicie zagospodarowana. Można tu spędzić bajkowy urlop. Oczywiście za odpowiednie pieniądze. W najnowszym hotelu „Phoenicia" pokój kosztuje 34 dolary dziennie. Lepiej opłaca się wynająć kilkupokojowy apartament na cały rok. Kosztuje tylko 6 tysięcy dolarów.

Zwiedzamy tę nową dzielnicę w towarzystwie kierowcy „chevrolety", Bchary Kiame. „Chevroleta" jest taksówką, własnością ojca Bchary, przedsiębiorcy taksówkowego. Bchara jest zatrudniony stale przez przedstawiciela handlowego Polskich Linii Oceanicznych w Bejrucie, pana Nadima, którego nasza załoga przez sympatię zwie — Nadimski. Sympatia płynie stąd, że bejruckie przedstawicielstwo jest jednym z najlepiej pracujących na tej linii.

Bchara Kiame ma 34 lata, jeszcze kilka lat temu był bokserem, zarzucił już sport i pracuje z ojcem. Zna podobno sześć języków, w każdym razie bez trudności porozumiewa się we francuskim, angielskim i niemieckim. Jest bardzo dumny ze swego kraju i przemian jakie w nim następują. Ma też, charakterystyczne dla Libańczyków, lekkie poczucie wyższości wobec innych krajów arabskich. Z dumą pokazuje nam wszystko co komfortowe i nowoczesne. „80 procent Libańczyków to ludzie bogaci, żyją szczęśliwie i beztrosko", mówi nam. W dzielnicy, którą zwiedzamy, wygląda to nawet prawdopodobnie. Ale za chwilę, wracając na statek, przejeżdżać będziemy obok zrujnowanych domów, ruder, nędzy i brudu. Bchara tłumaczy, że to dzielnica robotników z Syrii i ZRA przyjeżdżających tu w poszukiwaniu pracy. Nie wypada wątpić w jego słowa.

W Bejrucie są piękne dzielnice, są cztery uniwersytety z najstarszym (1866) amerykańskim, są bogate magazyny, duże klimatyzowane kina, w których gra się westerny i filmy przygodowe, jest też skrajna nędza. Są żebracy natarczywie domagający się bakszyszu, dzieci handlujące grzebykami lub wręcz wyciągające rękę po datek. Czy rzeczywiście to tylko ci, którym się nie chce pracować?

Ulica bejrucka jest gwarna, rojna, wielobarwna. Biali i Murzyni, Arabowie w europejskich i tradycyjnych strojach. Do najnowszych typów „mercedesa" wsiadają ich właściciele w długich białych galambijach i zawojach na głowie. Widok jedyny w swoim rodzaju, charakterystyczny dla szybko bogacącego się kraju.

Na mieście mnóstwo przewiewnych kawiarenek, często ulokowanych w małych pasażykach, klimatyzowane większe kawiarnie i wiele lokali typu europejskiego. Nas interesują wschodnie specjalności. Sklepiki-restauracyjki ze smażącymi się na elektrycznych rożnach szaszłykami, są chyba najbardziej charakterystyczne dla gastronomicznego oblicza miasta. Szaszłyki te są nieco inne niż nasze. Sterta płatków różnego rodzaju mięsa, głównie baraniny, przełożonych plastrami słoniny, w kształcie stożka, nabitych na rożen, obraca się nieustannie w ogniu. Sprzedawca okrawa z tego wirującego stożka kawałki mięsa i nakłada je na płat ciasta polany ostrym czosnkowym sosem, posypany siekaną miętą, cebulą, pomidorami i innymi warzywami. To wszystko zawinięte w rulon ciasta stanowi tani i bardzo popularny posiłek, konsumowany wprost na ulicy. Nieco droższe, ale również popularne są kurczęta tak samo pieczone na rożnie. Sprzedaje się je również w plastrach ciasta i dodaje do tego miseczkę czosnku tartego z solą i oliwą. W maleńkich cukierenkach smaży się na oleju słodkie racuszki i pierożki, wprost na ulicy sprzedawcy upalają różnego rodzaju, nieznane u nas orzeszki.

* * *

Dobrze funkcjonujące przedstawicielstwo handlowe organizuje nam wycieczkę do Baalbeku, ruin starożytnego miasta, którego początki sięgają III wieku p.n.e. Taka wycieczka należy do tradycji, jeśli się jest w Bejrucie to nie wypada nie zwiedzić Baalbeku. Marynarze mówią nam: „Ruiny jak ruiny, można zobaczyć, ale jak się ktoś na tym nie zna to wszystkie do siebie podobne. Natomiast droga ciekawa i ładna".

Rzeczywiście, droga jest piękna. Wiedzie autostradą, z której cały czas widoczne są w oddali grzbiety górskie. Pokryte poprzecznie układającymi się pasmami śniegu, wyglądają jak pręgowane grzbiety tygrysów. Jedziemy doliną Bekaa. Mnóstwo winnic, na polach pasą się stada owiec i kóz o długim

czarnym falującym włosie. Niepodobne do naszych, noduje się je tylko dla mleka. Gdzieniegdzie namioty Beduinów — hodowców tych stad. Bchara Kiame, który znów jest naszym przewodnikiem tłumaczy, że Beduini przyjeżdżają tu z Syrii, głównie z Damaszku na kilka miesięcy w roku. Ziemia ma tu dziwny kolor. Brunatna, czerwonordzawa, chyba bardzo tłusta, bo stoją w niej jeszcze kałuże wczorajszego deszczu.

Po drodze Bchara zatrzymuje wóz, żeby pokazać nam cedry. A właściwie jeden cedr. Nie można być w Libanie i nie obejrzeć cedrów. To „narodowe" drzewo, którego wizerunek widnieje na fladze państwowej, znajduje się dziś już pod ochroną. Cedr, który z dumą pokazuje nam Bchara ma ponoć 300 lat. Podziwiamy, wąchamy, rzeczywiście pachnie. Możemy jechać dalej.

Następny postój przy sklepie z pamiątkami. Jest tu wszystko. I wydawnictwa reklamujące Baalbek i stroje ludowe, w które jesteśmy siłą przez gościnnych gospodarzy przebrane i sfotografowane w towarzystwie Bchary, są wyroby ze srebra i złota, są i pejcze skórzane, bardzo ozdobne i bardzo okazałe. Pytamy, na kogo to? Arabowie uśmiechają się filuternie, może być na wielbłąda, może być na żonę. Jedna z pań rezygnuje z kupna bicza, który miał być prezentem dla męża. Podejrzewam, że zdecydowała o tym cena — 2 dolary.

Problem kobiet, ich sytuacji społecznej, roli w rodzinie, jest traktowany przez naszych rozmówców (zawsze mężczyzn, z kobietami jakoś nie mamy okazji się spotkać) żartobliwie. To chyba metoda dzięki której można ominąć prawdę. Z tą emancypacją jeszcze nie najlepiej, więc lepiej poważnie o tym nie mówić. Za to opowiadają ile żon ma Ibrahim, a ile Nadim, i że świadczy to o ich zamożności. Opowiadają też popularną anegdotę o powojennej emancypacji kobiet. Bo przed wojną drogą szedł najpierw Arab, za nim osiołek, za osiołkiem żona. Po wojnie sytuacja się zmieniła. Najpierw szła żona, za nią osiołek, kilka metrów za osiołkiem Arab. Trwało to tak długo, dopóki nie rozminowano dróg.

Bchara, obok wielkiego złotego sygnetu nosi na palcu obrączkę. Zwierza mi się, że nie jest żonaty i nie chce się żenić, ale lubi się bawić. A dziewczęta są u nich takie dziwne, że zaraz chciałyby złapać chłopca na męża. Więc jak ma obrączkę, to nie mogą mieć do niego pretensji. Nie widzę w tej historii nic egzotycznego, ale nie przyznaję się do tego. Niech myśli, że to tylko u nich.

Ruszamy w dalszą drogę żegnani przez właścicieli sklepu uprzejmych, choć nic nie kupiliśmy. Mijamy teraz jakieś niewielkie miasteczko górskie, niemal opustoszałe, choć już południe. Bchara wyjaśnia, że za miesiąc, w czerwcu, miasteczko ożywi się, natomiast opustoszeje Bejrut. Zamożni mieszkańcy stolicy, przemysłowcy i kupcy przenoszą się tu, do swych willi położonych w górach, gdy rozpoczynają się letnie upały. Kupcy zamykają sklepy w Bejrucie, a otwierają tutaj. Letni sezon trwa cztery miesiące. Okolica jest rzeczywiście piękna, a powietrze (znajdujemy się na wysokości 1.500 metrów nad poziomem morza) chłodne i rześkie.

* * *

Ruiny Baalbeku zwiedzamy samotnie. Bchara nie chce nam towarzyszyć. Jest bardzo gorąco. Oglądamy kolosalne szczątki ośrodka, który przez wiele wieków był miejscem kultu religijnego. Najpierw Baala — bóg słońca, potem za czasów rzymskich chmurnego Jowisza, chrześcijaństwo przyniosło tu bazylikę. Dziś pozostały tylko kamienne szkielety świątyń, gigantyczne głazy porastają trawą, wśród której wygrzewają się na słońcu małe jaszczurki. Obok powstaje nowy Baalbek, miasto, które będzie żyło z turystów i historii zamkniętej kamieniami ruin.

Fotografujemy jeszcze piękną panoramę rozciągającą się przed nami i wracamy do „domu", to znaczy na statek. Teraz marzymy tylko o chłodnych kabinach, prysznicu i polskiej kuchni „szefowej". Taki kawałek Polski, przycumowany do nabrzeża, bardzo poprawia samopoczucie nawet najbardziej zapalonych turystów.

— Dużo przeczytałeś, Tadeusz — mówię. Bardzo dużo, jeśli czytałeś tak, jakbyś gryzł orzechy.

— Toś mnie ucieszył — powiada Tadek i rozdziawia w uśmiechu szczerbatą gębę.

— Ty nawet nie wiesz, co z ciebie za facet — mówię.

Stoimy ciągle nad strugą. Na wzgórku, chłopcy przerwali koncert na motocykle, a Tadek powiada, że pomysł mu się podoba.
— Jaki pomysł? — pytam.

Może być jedno, i drugie — odpowiada.

Bajoro jest długie i wąskie, ciągnie się serpentyną między wiklinami. Rzeczywiście, może być jedno, i drugie, ryby i park. Bajoro można osuszyć, w którymś miejscu poszerzyć w niewielki zalew. Nad strugą i zalewem powiesić kolorowe lampiony, a na wodzie mogą być gondole. Wzdłuż strugi można zrobić żwirowane alejki z ławeczkami, a staw oświetlić reflektorem.

— Miejsce jest dobre, nawet bardzo dobre, kawał pięknego lasu. Można wybudować camping. Może być jedno i drugie — powtarza.

Ma już wizję, więcej, ma odwagę, której mnie brak. Ja mam od razu milion pytań i dopiero kiedy uzyskam na nie odpowiedź, projekt akceptuję.

— W jaki sposób i jakimi siłami? Kto zrobi projekt? Skąd fachowcy? Kto pokryje koszty?

Tym razem moje wątpliwości są nieuzasadnione. Tadek od wielu lat jest radnym w Gromadzkiej Radzie Narodowej nauczył się planowania i potrafi gospodarować. Jeśli powiada, że te lampiony i gondole są realne, to znaczy, że są. Rybom to nie zaszkodzi — dodaje.

Tadek przeczytał prawie dwa tysiące książek. Zapisał dziesięć stukartkowych zeszytów. Wśród tych zapisków bez mała połowę stanowią rozmaite obliczenia, a książki czytał przecież tak jakby gryzł orzechy. Mądry jest.

— Pytałeś, jak to zrobić? O to się nie martwię. Nie masz pojęcia jacy ludzie są w naszym kole. Świetlicę już nam dwa razy odebrano, a trzeci próbowano. Dwa razy już jej nie było, a przecież jest. Te kilkaset metrów sześciennych ziemi to drobiazg.

Było to ładnych kilka lat temu. Koło zdobyło właśnie nagrodę w jakimś konkursie, bodajże ogólnopolskim. Do N. przybyły wysokie władze z województwa i powiatu. Świetlica, to były wtedy cztery ściany i podłoga zheblowana do białego drewna. Nigdy w życiu nie widziałem tak białej podłogi. Padał deszcz i wysokie władze długo certowały się przy wejściu. Bo jakże stanąć w zabłoconym obuwiu na podłodze tak czystej, że można by na niej gnieść kluski.

Przyjęcie odbyło się na stojąco. Dziewczęta roznosiły na tacach kanapki i kawę. Radio przywiezione przez gości, jako nagroda, ustawione ostentacyjnie na podłodze, spowodowało pewną konsternację. Wtedy Tadek powiedział, że celowo nie kupują sprzętu, najmarniejszego choćby krzesła, bo skoro odbiorą im lokal, w którym właśnie czcigodnych gości podejmują, to co ze sprzętem zrobić. Goście spojrzeli po sobie zdumieni, a w ciągu kilku dni sprawa świetlicy została pomyślnie załatwiona. To był sukces i sukces ten należało przypisać Tadkowi.

Czyż środowisko mogło go nie docenić? Powoli stawał się we wsi doradcą, instruktorem i w miarę potrzeb ekspertem, jak to zwykle bywa w środowiskach pozbawionych specjalistów. Pisał podania, wyjaśniał to co było niezrozumiałe. W wielu sprawach nie miał sobie równych i coraz częściej podejmował decyzję. Uwierzono w niego i on uwierzył w siebie. Uwierzył w siebie od owego spotkania nad strugą, kiedy to wygrał konkurs na najlepszy rysunek.

Psycholog załatwiłby sprawę jednym krótkim wyrazem: kompensata. I w gruncie rzeczy powiedziałby niewiele wypowiadając to szklano-niklowe słówko. Nie powiedziałby mianowicie tej podstawowej prawdy, że tylko człowiek potrzebny innym staje się potrzebny sobie.

Tadek pyta, czy zostanę na spotkaniu?

Będzie tak: Stół nakryty czerwonym suknem, na obrzeżach kwiaty o barwach narodowych. Po lewej ręce prelegenta usiądzie sekretarz partii i przedstawiciel Gromadzkiej Rady Narodowej a po prawej zarząd naszego koła. Uroczyście i swojsko zarazem. Po kwiaty, koniecznie w celofanie, wysłali delegata na motorze, aż do powiatu. A teraz kłopot. Czy kwiaty wręczyć przed, czy po spotkaniu? Kwiaty po spotkaniu to jakby zapłata. Kwiaty przed spotkaniem to wyraz zaufania do człowieka, który przecież przejechał szmat drogi. Więc jak?

— Zawsze, po spotkaniu — mówię.

— Lepiej zostań — powiada.

Idziemy powoli na wzgórek.

Dręczy mnie pytanie: po co mu to wszystko? Ogromny wysiłek. Setki metrów sześciennych wywiezionej ziemi. Mobilizacja fizyczna i psychiczna dziesiątków ludzi. Po co mu ta cała „Wenecja", tu w nieznanej nikomu wiosce N. To przecież w jakimś sensie praca przeciwko niemu. On przecież nie wsiądzie z dziewczyną do łódki, nie będzie w locie chwytał gałęzi wierzby. Pozostanie jak zwykle na uboczu, będzie co najwyżej słuchał śpiewu i śmiechu oddalającej się flotylli i cieszył cudzym szczęściem, które nigdy nie jest tak wielkie, jak własne.

— Naprawdę masz zamiar osuszać to bajoro? — pyta nagle ta gorsza, ba zupełnie zła część mego reporterskiego „ja". — Po diabła ci taka orka?

Szokuje mnie ten chłopak, nie potrafię tego ukryć.

— To trzeba jeszcze dokładnie przemyśleć — odpowiada. Milczy chwilę i dodaje: — Widzisz, tak naprawdę, to ja nigdy nie potrafiłem rysować.

MIROSŁAW MIESZCZANKOWSKI

KALMAN SEGAL

Urodziny aktora

Popołudnie spędziłem na pikniku u przyjaciela, który jest człowiekiem gościnnym i moczymordą. Piliśmy wino, piliśmy wódkę, potem smakowaliśmy różne inne napoje, i o zmierzchu byliśmy już w dobrym humorze.

Wieczorem postanowiliśmy wybrać się do teatru. Podjechaliśmy taksówką, ledwo zdążyliśmy na czas. Kurtyna właśnie szła w górę.

Na scenie wisiało duże lustro przed którym tkwił Aktor, człowiek w średnim wieku — w jednej ręce trzymał butelkę wódki, a w drugiej szklankę od herbaty.

— Na zdrowie! — powiedział do swego odbicia w zwierciadle. — Na zdrowie, drogi przyjacielu, trzymajmy się razem, a nigdy nie będziemy samotni. Dzisiaj są twoje urodziny — chciałbym ci złożyć najlepsze życzenia.

Wypił zawartość szklanki, a postać w lustrze odparła:

— Dziękuję ci, mój drogi, bardzo mnie cieszy i wzrusza, że nie zapomniałeś o tym dniu. W gruncie rzeczy byłeś zawsze jedynym człowiekiem, który nigdy mnie nie zawiódł. Zawsze też miałem do ciebie największe zaufanie.

Aktor był wzruszony, wzruszeni byli też wszyscy ludzie z widowni. Wiele kobiet miało łzy w oczach.

— Tak to wygląda — powiedział Aktor zwracając się do publiczności. — Dzisiaj ukończyłem pięćdziesiąt lat, pół stulecia przeżyłem — kawał czasu. A kim jest mężczyzna, który ukończył pięćdziesiąt lat? Czym jest? Tonącym okrętem. Armią w odwrocie. Nie ma już mowy o wielkich zwycięstwach. W sercu budzi się pobożność i miłość do Boga. Człowiek cierpi na bezsenność. Poglądy na moralność naszych znajomych i przyjaciół stają się konserwatywne. Sny są pełne bezsilnego erotyzmu. Może lepiej było umrzeć o rok wcześniej? Bo ja wiem... Na zdrowie!

I znów nalał z butelki i wypił, a z widowni rozległ się kobiecy głos, pełen życzliwości.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!

— Pięknie dziękuję — ukłonił się Aktor — a ja nawet nie wiem, kiedy przeminęło to moje półwiecze. Zaledwie wczoraj byłem dzieckiem. A dzisiaj... Dzisiaj jestem aktorem, który rozmawia ze swoim odbiciem w lustrze.

— Za dużo pijesz — powiedział donośnie jakiś bas na widowni; jego głos dudnił jakby wydobywał się z głębokiej studni. — Dyrektor teatru nie lubi pijaków.

— Nie boję się dyrektora teatru — zapewnił Aktor. Jestem wolnym artystą, robię to, co mi się podoba, gram to co mi się podoba. W mojej rodzinie wszyscy zawsze robili to, co chcieli. Mój pradziadek był autentycznym anarchistą, czterdzieści lat spędził w głębi gęstego boru, czekał tam na jednego cesarza, którego chciał zgładzić. Ten cesarz dawno już został zdetronizowany i wygnany z kraju i zmarł na obczyźnie w zapomnieniu i nędzy. Ale mój pradziadek o tym nie wiedział. Czekał i czekał, aż wreszcie zmarł, w owym gęstym lesie, w cieniu wiekowej sosny.

Aktor miał zamiar długo jeszcze opowiadać o swoim pradziadku, a także o swoim dziadku, który również był oryginałem, ale znowu ktoś mu przeszkodził:

— Wszystko to kłamstwo, zresztą nie obchodzi nas pański dziadek, może pan w ogóle żadnego dziadka nie miał, jeżeli pan istotnie ma zamiar nas zabawić to proszę opowiedzieć nam o sobie, a nie o jakimś cholernym dziadku, który był anarchistą.

Aktor opuścił głowę jak stary koń. Był zawstydzony i pożałowania godny.

— Zawsze wyobrażałem sobie, że w takim dniu jak dzisiaj, moja scena będzie tonąć w kwiatach. Kiedy byłem młody, marzyłem o tym dniu — moje marzenia były wtedy barwne i wonne, cudowne były te moje marzenia.

— Marzenia... — nie rozumiałem o co chodzi. — Co to jest marzenie?

Aktor na scenie zamyślił się, zastanowił i wreszcie jąkając się lekko, zaczął wyjaśniać.

— Marzyć, znaczy żyć i cieszyć się tym co już kiedyś było. Albo tym, co dopiero kiedyś będzie. Albo tym, co mogło być. Marzyć, znaczy zachwycać się tym co jest, choć nikt tego nie widział. Cudowne są te marzenia, cudowne...

I próbował nam wytłumaczyć, jak należy marzyć, i co można w takim marzeniu osiągnąć. Zaproponował, żeby wszyscy obecni zechcieli na chwilę zamknąć oczy. Więc na chwilę zamknęliśmy oczy i właśnie wtedy usłyszeliśmy piękną i słodką muzykę, z owego przepięknego repertuaru, jaki grywano w latach mojej niezapomnianej młodości, gdy świat był jeszcze zupełnie zielony i wesoły.

Po chwili otworzyliśmy oczy i zobaczyliśmy na scenie jeszcze jedną postać. Była to kobieta w średnim wieku, zgrabna i elegancka i prawie piękna. Stała na scenie, uśmiechając się skromnie do publiczności i zerkając na pijanego aktora.

Aktor uśmiechał się do niej i wyjaśnił nam, że ta piękność nie jest aktorką, jej obecność na scenie ma charakter wyłącznie prywatny.

— Oto jest kobieta, o której marzyłem — powiedział, starając się opanować wzburzenie. — Kobieta z moich marzeń. Kochałem ją, byłem jej wierny. Czekałem na nią.

A zwracając się do niej dodał:

— Dziękuję ci za to, że przyszłaś. Właśnie dzisiaj. W dniu moich urodzin.

I rozpłakał się. A kobieta stała cicho, bardziej podobna do anioła, niż do człowieka. Zauważyłem, że w miarę mijania czasu Aktor stawał się wciąż starszy i starszy, a kobieta wciąż pięknniała.

Nagle zza kulis wybiegł młodzieniec i z okrzykiem zachwytu i radości rzucił się na szyję Aktorowi.

— Ojcze! — zawołał młody człowiek.

— Moje dziecko — szepnął jubilat. Mój piękny syn!

Więc teraz już troje ludzi stało na scenie; Aktor, jego żona i syn.

Aktor był głęboko wzruszony i szczęśliwy. Znów zaczął zwierzenia o swoich snach i tęsknotach.

Ludzie w sali teatralnej słuchali z dużym zainteresowaniem, bo tęsknota to rzecz bardzo ludzka, chętnie słuchamy o cudzych tęsknotach, a słuchając porównujemy je do naszych własnych intymnych spraw. Wszyscy wysłuchali zwierzeń aktora z dużą powagą. Jedynie kobieta na scenie uśmiechała się ironicznie. Ona również zwróciła się w stronę publiczności, ona również miała nam coś do powiedzenia, ale jej słowa brzmiały zupełnie inaczej.

— Nie wierzcie mu — powiedziała — Wszystko co powiedział to kłamstwo. To marny aktorzyna, plecie co mu ślina na język przyniesie. I w ogóle to człowiek stracony, wszyscy aktorzy tacy są, wszyscy są marzycielami, brak im stateczności, by być kimś prawdziwym w życiu, więc grają role, kłamią, kłamią, cała sztuka jest kłamstwem, cała sztuka!

Podniecała się własnym gniewem, krzyczała głośno i histerycznie — Aktor usiłował ją uspokoić, ale ona wciąż powtarzała, że sztuka kłamie i że aktorzy kłamią. Powiedziała, że Aktor unieszczęśliwiłby ją, gdyby istotnie była kobietą z krwi i kości, na szczęście ona i przystojny młodzieniec są tylko postaciami ze snu, nawet nie postaciami z teatralnego spektaklu.

Kobieta krzyczała głośno, Aktor zakrył rękami twarz, wstydził się: taki skandal, i to w teatrze, właśnie w dniu urodzin...

— Jesteśmy tylko uosobieniem jego pijackich marzeń — mówiła kobieta. — Bo to pijak i masochista, człowiek który woli znosić największe cierpienia we śnie aniżeli być szczęśliwym na jawie. Jest zakochany w swoich urojeniach, a kiedy wypije kieliszek wódki, przestaje dostrzegać granicę między prawdą, a kłamstwem, między sztuką, a rzeczywistością. Przed wielu laty grał raz rolę Otella i omal nie zamordował swojej partnerki. Na szczęście w porę wbiegli na scenę inspicjenci i strażacy i ocalili nieszczęsną Desdemonę.

Kobieta ze snów pięćdziesięcioletniego Aktora rzewnie płacząc, opowiadała, że jest szczęśliwa iż udało jej się pozostać w kręgu jego marzeń, a nie w kręgu przeżyć rzeczywistych. Zapomniała, że przemawia do ludzi obcych, i nie wahała się obnażyć prawdziwych słabostek Aktora. Była przekonana, że choć zawsze o niej marzył, to jednak jej życie u jego boku byłoby stracone, wiecznie byłaby w jego objęciach samotna, ilekroć nasyciliby swoje żądze, on stwierdzałby, że ona nie jest wystarczająco interesująca, lub wystarczająco mądra i piękna, że brak jej wykształcenia lub nawet inteligencji. Wówczas ona cierpiałaby niewymowne katusze, więdłaby jak kwiat w miesiącach suszy. Czułaby się obrażona, snułaby marzenia o innym mężu. Czekałaby na człowieka, który nie jest aktorem, lecz człowiekiem skromnym i dobrym. I ten skromny, dobry człowiek pewnego dnia zjawiłby się w jej życiu, przybyłby z daleka lub z bliska, miałby wiele cierpliwości i czasu, rozmawiałby z nią nie o wielkiej sztuce, ale o małych sprawach dnia powszedniego, o miłości, o modzie, o potrawach. I właśnie ten dobry, skromny człowiek byłby ojcem jej dziecka.

Aktor stał nieruchomo, młodzieniec cicho popłakiwał, a kobieta wygłaszała swój wielki oskarżycielski monolog.

— Mógł mieć żonę — powiedziała. — I mógł mieć syna. Ale nie ma nikogo. Nie ma niczego. Nie ma nas. Wszystko jest tylko snem, snem, snem...

Tak mówiła, a jej słowa były coraz cichsze. Jej postać bladła, jakby wtapiając się w czerń płóciennych kulis, nikła nam w oczach, aż w pewnej chwili zupełnie rozpłynęła się; i znikła także postać młodzieńca.

Na scenie pozostał samotny Aktor z butelką w jednej ręce i szklanką w drugiej.

— Jestem samotny — powiedział ponuro. — Samotny jak pewien duński królewicz. Samotny wśród tylu ludzi. A serce moje jest pełne miłości, jak dzban pełen wody. Kto ma pragnienie? Komu łyk wody? Komu trochę miłości? Komu kawałek serca?

Jakaś kobieta z widowni wstała i powiedziała:

— Mnie. Ja chcę kawałek serca.

Aktor przez chwilę obserwował ją milcząco, potem poprosił, żeby podeszła. Podał jej rękę, a kiedy już wgramoliła się na scenę rozległy się gęste brawa. Aktor objął kobietę, pocałował ją w czoło i wręczył jej śliczną papierową różę.

Kobieta oświadczyła, że teatr jest dla niej uzupełnieniem życia, a odkąd zobaczyła Aktora w roli Otella, jej serce gorąco zapragnęło być Desdemoną.

Aktor powiedział, że to jest zrozumiałe, bo w roli Otella on jest niezawodny.

Kurtyna wolno zaczęła opadać, a oklaski były tak długotrwałe i głośne, że zbudziłem się z drzemki. Łeb bolał mnie straszliwie, przez chwilę zdawało mi się, że mam tysiąc głów i każda z nich jest boląca. Nie mogłem też zrozumieć skąd biorą się takie niesamowite majaki senne — bo ten cały spektakl w istocie był przecież tylko snem.

I przypomniałem sobie powiedzenie jednego znakomitego reżysera: w śnie i w teatrze wszystko jest możliwe...

Fot. Bogdan Karewicz

URSZULA CZARTORYSKA

O malarstwie młodych

Wokół malarstwa ludzi młodych, dopiero niedawno opuszczających mury Akademii Sztuk Pięknych i państwowych wyższych szkół sztuk plastycznych, istnieje atmosfera wyczekiwania. Oczekuje się od nich świeżości, rozszerzenia horyzontów, uwolnienia się od rutyny, która z konieczności w pewnej części cechuje sztukę artystów wieku dojrzałego. Nie chodzi tu chyba zresztą o jakiś „konflikt pokoleń", znamy przecież malarzy starszych, którzy nieustannie modyfikują obraną poetykę, sprawdzają szczerość przejawów własnego temperamentu twórczego, stale ponawiają próby, jakie dopiero po przyszłych rezultatach będzie można uznać za udane, którzy wreszcie nie przestają utrzymywać kontaktu z najnowszymi poszukiwaniami światowymi.

Mówi się wiele, w związku z różnymi rodzajami pracy zawodowej czy z wielorakimi gałęziami sztuki, o rutynie, towarzyszącej wiekowi dojrzałemu. Sądzę, że trzeba tę tezę zweryfikować, i to nie tylko w tym sensie, aby docenić świeżość i zapał niektórych przedstawicieli średniej generacji w ich pracy czy ich twórczości. Gorzej, że należałoby przed rutyną ostrzec przede wszystkim tych, którzy dopiero wkraczają w dojrzałe życie. Młodych poetów, którzy tworzą w konwencji Różewicza, czy Białoszewskiego, przejmując od nich zewnętrzne cechy stylu i nie wnikając w ich głębsze warstwy wyobraźni i stosunku do świata, trudno jest przekonać, aby się spod tego powierzchownego naśladownictwa uwolnili, ich własna bowiem indywidualność nie jest jeszcze dostatecznie rozbudzona. Z młodymi malarzami sprawa przedstawia się jeszcze trudniej, gdyż nie tylko klimat wypowiedzi twórczej, ale i po prostu „gramatyka malarska" jest u nich ukształtowana przez osobowość profesora i atmosferę Akademii, której wpływ z konieczności odbierany jest na co dzień, systematycznie, w ciągu paru lat. W grę wchodzi tu nie tylko przykład własnej twórczości wykładowcy (wielu jest, niestety profesorów, których obrazów nie ma okazji oglądać ani uczeń ani publiczność wystawowa); to przyjęta „gramatyka" — zasady technicznego wykonawstwa obrazu, grubość śladu pędzla na powierzchni płótna, rodzaj kolorystyki — przekazywana jest wraz z korekta młodym artystom i ona w pewnych okolicznościach może zastygnąć u nich w zabiegi, powtarzane bez namysłu, bez próby zweryfikowania ich przydatności w późniejszych latach. Jeśli więc nawet młody malarz po studiach „rozjaśni paletę", porzuci konwencje figuratywną na rzecz abstrakcji, czy na odwrót, to mimo to przez długi czas można w nim jeszcze poznać szkołę mistrza, tego lub innego, szkołę skądinąd oczywiście niezbędną jako nauka rzemiosła, ale niestety utożsamioną z niewzruszalnymi zasadami estetycznymi.

Wiedzą o tym ci, którzy corocznie w czerwcu odwiedzają pracownie Akademii i szkół sztuk plastycznych, kiedy demonstruje się tam prace absolwentów i studentów z minionego roku, i którzy bywają na wystawach autorów debiutujących już „na mieście": porównanie zrozumiałej nieporadności, która cechuje prace akademickie, z zanikiem atmosfery świeżości w obrazach, powstałych trzy czy cztery lata po studiach, skłania do niewesołych refleksji na temat niepokojącej u młodych autorów nieumiejętności korzystania z tak długo oczekiwanej „wolności".

O ile ci, którym udało się wcześnie zorganizować wystawę indywidualną w „salonie debiutów" (w Warszawie np. w salach ZSP naprzeciw Akademii), dość często rozczarowują zbyt małym samokrytycyzmem i nużą zestawieniem kilkunastu prac powtarzających się jak zadanie szkolne, lub też zbyt bezładnie szamoczących się w różnych przypadkowych konwencjach, o tyle młodzi, uczestniczący obok starszych artystów w wystawach np. okręgowych, nie mają szans zwrócenia na siebie uwagi jedna praca, nieśmiało przytulona w kącie. Jeden obraz debiutanta na wystawie zbiorowej pozostaje albo niezauważony, albo skomentowany zdawkowo jako naśladownictwo tego czy innego mistrza z najbliższego otoczenia, czy znanego z reprodukcji.

Próba rozwiązania sprawy wystawiennictwa młodzieży przyszła z Wybrzeża: korzystne dla dość sprawiedliwej konfrontacji dorobku początkujących artystów wystawy młodego malarstwa, rzeźby i grafiki, odbywają się co dwa lata w Sopocie, w ramach tamtejszego letniego „Festiwalu Sztuk Plastycznych". Wystawy te z konieczności nieustannie zmieniają swe oblicze, do udziału dopuszcza się bowiem autorów, którzy nie dawniej niż 5 lat temu ukończyli studia, więc tylko wyjątkowo spotykamy tu „starych znajomych". Fakt, iż wystawa, w przeciwieństwie do innych krajowych pokazów zbiorowych, będzie stanowić niewiadomą, oczywiście podsyca ciekawość krytyka i potęguje jego nadzieję, że będzie świadkiem zdobycia ostróg przez co najmniej kilku interesujących artystów. A jeśli napotka on obrazy czy rzeźby autora, znanego już z innych wystaw, np. grupowych, przygląda się im uważnie, chcąc już wyobrazić sobie kierunek jego rozwoju.

Tak na poprzedniej sopockiej wystawie młodych zdarzyło mi się rozpoznać z daleka prace Bereźnickiego, Marii Anto i paru innych, znanych uprzednio z wystaw ogólnopolskich oraz z uczestnictwa w polskiej reprezentacji np. Biennale w Sao Paulo i Biennale Młodych w Paryżu. W roku bieżącym nieobecność malarzy znanych jest bardzo widoczna, pod tym względem wystawa sopocka znacznie się jakby „odmłodziła". Spośród jej uczestników bodaj tylko Jan Świtka był już reprezentowany za granicą, a w kraju dało się poznać szerzej zaledwie kilka osób.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Czy prawdziwa Kefalinia?

Książki, których tematem jest wojna (jako konflikt historyczny, a nie jako przygoda) zmuszają do pamiętania o tym, że literatura to zawsze, choć w różny i jakże nieprosty sposób, mimesis, deptanie rzeczywistości po piętach, łowienie jej w mniej lub bardziej gęstą siatkę języka. Można uwierzyć w różne wzory przeżywania, narzucane nm przez pisarzy, można się im poddać, ale kiedy pisze ktoś o wojnie niezbyt odległej w czasie, czytelnik skłonny jest konfrontować wzorzec autorski z najbliższymi mu wzorcami obiegowymi (bo są one różne przede wszystkim w zależności od tego, w jakim punkcie świata powstały).

W Polsce napisano wiele książek o II wojnie światowej, ale większość z nich nie zawiera dogłębnej analizy motywów działania przeciwnika, ani jego oceny. Analizy tej dokonano poza literaturą, ocena z naszego punktu widzenia jest bezsporna. Inaczej wygląda ta sprawa w literaturze zachodniej, a zwłaszcza w części literatury niemieckiej, ponieważ centralnymi sprawami stają się tam, po pierwsze przyczyny wojny, a po drugie wybór, wobec którego staje jednostka. Jest to wybór szczególnego rodzaju. Człowiek czuje się skażony przez przynależność do narodu, który wywołał wojnę, podwójnie skażony, jeśli pozwolił się ubrać w mundur (chodzi, oczywiście, o „bohaterów pozytywnych"). Jeżeli nie chce zostać po tamtej, potępionej stronie, musi się dokonać katharsis — oznacza to walkę przeciwko złu, a często śmierć. Podstawowe pytanie, które należy sobie zadać po przeczytaniu książki o tematyce wojennej, dotyczy właśnie sprawy wyboru: czy jest to dramat możliwości czy niemożliwości wybierania. Niemożliwość wyboru była cechą „wojennej" literatury zachodniej początków XX w., literatury o absurdzie wojny. Uświadomienie sobie beznadziejnej sytuacji człowieka, którego ubrano w mundur i wysłano na front, aby zabijał, choć nie widzi powodu i dał się ewentualnie zabić, wywołało różne reakcje. Najgwałtowniejsze były chyba (z dwóch różnych pozycji) gniew Barbusse'a i nienawiść Celine'a (chodzi tu oczywiście, tylko o teksty, dotyczące tej sprawy, a nie o pozaliteracką interpretację postaw tych pisarzy).

„Zbrodnią byłoby ukazywać piękne strony wojny, jeśli nawet istnieją" — pisał Barbusse.

„Odkryłem za jednym zamachem wojnę w całości. Byłem rozprawiczony. Trzeba być prawie sam jeden wobec niej, jak ja byłem w owej chwili, żeby zobaczyć to ścierwo, en face i z profilu" — pisał Celine.

W ramach wojny nie było możliwości wybierania wartości — można było najwyżej ustalić swój stosunek do niej. Jedynym wyjściem była dezercja, ucieczka od wojny, jak w „Pożegnaniu z bronią". Ale uciekali ludzie skażeni absurdem, których istnienia nie mógł zakończyć happy end.

W literaturze związanej z II wojną światową pojawił się nowy system wartości, ponieważ ujawniony został demon zła. Racja była po stronie tego, kto był przeciwko niemu. Wyzwoliło to postawę bohaterską, która sięgała głęboko w literaturę, aż do wysokości metafory, czego dowodem jest choćby „Dżuma" Camusa.

W literaturze polskiej obok postawy bohaterskiej pojawił się nieporównywalny z niczym dramat niemożliwości protestu, dramat anonimowych mas ludzkich miażdżonych przez system zagłady — były to przede wszystkim „Medaliony" i opowiadania Borowskiego. Stanowisko narratora jednak było jednoznaczne. Ten wzorzec Nałkowskiej i Borowskiego najsilniej chyba wpływa na interpretację innych modelów wojny, które do nas docierają. Można to sobie uświadomić, czytając „Białą flagę nad Kefalinią". Notatka na początku książki jest znamienna — autor stwierdza, że wszystkie wydarzenia wojenne są prawdziwe, natomiast pozawojenne — fikcyjne. Autor więc chce dać świadectwo prawdzie. W jaki sposób to robi? Powieść ma dwa plany: syn szuka śladów ojca na wyspie Kefalinii. Narrator natomiast opowiada o losach tego ojca. Oficer włoski przybył jako najeźdźca (wraz z sojusznikami — Niemcami) na cichą, spokojną wyspę Kefalinię. I tam Aldo Puglisi doznał szoku wielkiego zdziwienia: Jak to możliwe, że stał się wrogiem ludzi, którzy są tak sympatyczni. To odczucie absurdu wojny pochodzi z dawniejszych czasów — z powieści związanych z pierwszą wojną światową i stąd zdumienie, że autor prezentuje taką naiwność poznawczą. Aldo Puglisi dziwi się nade wszystko, jak mógł stać się wrogiem Kateriny, dziewczyny, która (jeśli pominąć warstwę psychologiczną powieści) symbolizuje Grecję, podobnie jak bohaterka dużo gorszego „Milczenia morza" Vercorsa. Niemcy wydają mu się nagle tknięci jakąś nieuleczalną chorobą, z której nawet nie zdają sobie sprawy. Venturi nie demonizuje jednostki, lecz system. Po zawarciu przez Włochy zawieszenia broni, dywizja włoska otrzymuje rozkaz złożenia broni Niemcom. Włosi czują podstęp, boją się zemsty dotychczasowych sprzymierzeńców. Aldo Puglisi decyduje za wszystkich — wydaje rozkaz strzelania do okrętów niemieckich, ponieważ widzi, że płyną one, aby zamknąć pułapkę. Ale pisarz pozwala mu wykonać ten gest jako gest heroiczny: „Zakomenderował: „ognia!" i jednocześnie, razem z radosnym uczuciem buntu, z nieznanym dotychczas poczuciem wolności, ogarnął go niepokój i lęk przed nieznanym: oto znalazł się w szeregu wrogów ustroju i jego praw".

Kapitan Puglisi wydostaje się z trybów historii. Przestaje być częścią systemu, decyduje o swoim losie. A potem następuje katharsis. Niemcy zwyciężają i rozstrzeliwują włoskich żołnierzy. Ta właśnie scena rozstrzelania — to pazur rzeczywistości w krainie fikcji. Bo cała ta książka o drugiej wojnie światowej jest nieprawdziwa. Ma za miły, za łagodny klimat. Napisana jest za ładnymi, za równymi zdaniami. I nic nie pomaga stwierdzenie autora, że wydarzenia wojenne są prawdziwe.

Być może prawdziwsza jest historia Kateriny Pariotis i kapitana Aldo Puglisi. Chociaż autor twierdzi, że ją zmyślił. Tak to bywa z prawdą w literaturze.

M. Venturi, „Biała flaga nad Kefalinią", przełożyła B. Sieroszewska, Czytelnik, 1968.

Fot. Dieter Doppler

Półka z książkami

WYPRAWA PO SKARBY

W stałej serii publikacji poświęconych historii sztuki, którą od pewnego czasu emituje „Wiedza Powszechna" (przypomnijmy chociażby „Sztukę Indii" Jakimowicza czy też „Impresjonistów" Guze) pojawiła się nowa pozycja, tym razem archeologiczna poświęcona w dużej części działalności Polskiej Misji w Dolinie Grobów i Obozie Dioklecjana w Palmyrze. Ten ważny ośrodek handlowy na szlaku karawan pomiędzy Syrią a Mezopotamią, gdzie jeszcze w III w. kwitło najbujniejsze życie, podzielił los Kartaginy — zburzony z rozkazu cesarza Aureliana został zasypany przez piaski pustyni i dziś, na miejscu, gdzie stało wspaniałe miasto, znaleźć można zaledwie niewielką wioskę arabską Tadmor. Tu właśnie przez dziesięć lat prowadzili badania polscy archeologowie z prof. Michałowskim na czele.

Przypominając pełną urzekających mitów historię Palmyry i jej władców, autorka, znany historyk sztuki, napisała interesujące studium zabytków, które do naszych czasów przetrwały pod piaskami. Szczególnie interesujące są te partie książki, które autorka poświęciła opisowi życia codziennego w czasach największego rozkwitu miasta, za panowania królowej Zenobii. Anna Sadurska korzysta tu ze wszystkich możliwych źródeł, nie pomijając, rzecz jasna, rezultatów polskich badań, które wiele nowego wnoszą do tematu. Książka zawiera cenne ilustracje, dobrane starannie, rzetelnie uzupełniające autorską relację.

Jest to, jak już powiedzieliśmy w głównej mierze studium palmyreńskich zabytków, ale do książki włączono również czysto reportażowe partie, które mówią o pracy i przygodach archeologów polskich. Zabieg ten czyni książkę Anny Sadurskiej jeszcze wdzięczniejszą dla czytelnika.

Anna Sadurska: „Palmyra — narzeczona pustyni", „Wiedza Powszechna", 1968, str. 147, cena zł 16.

ŻYCIE FRANTA

Ukazała się w przekładzie Józefa Magnuszewskiego, który od dawna zajmował się motywem franta w literaturach słowiańskich, urokliwa książeczka staroczeska, mająca swój rodowód w szesnastowiecznym romansie błazeńskim. Johannes Franta, fizykus pilzneński, który miał tę książkę napisać ku utrapieniu czytelników, bo ono „rozumu przydawa" — jest ubogim literackim kuzynem takich głośnych bohaterów piśmiennictwa średniowiecznego jak Ezop, Marchołt czy wreszcie Sowizrzał, toteż nie dorównuje im ani fantazją ani rozgłosem. Trzeba jednak pamiętać, że mimo to „Frantowe prawa" odegrały kolosalną rolę w torowaniu na ziemi czeskiej drogi dla wpływów renesansowych. Stąd zresztą wielkie w tym starodruku powinowactwo ze zbiorami facecji humanistów zachodnioeuropejskich, Henryka Bebla i Poggia Bracciolinigo.

Kodeks zasad postępowania, jakie zaleca „braciom swojego cechu" Johannes Franta, fikcyjny autor książki, bo jej rzeczywisty twórca przezornie się pod nią nie podpisał, jest ostrą satyrą obyczajową i społeczną na stosunki panujące w Czechach w początku wieku XVI, gdzie po wojnach husyckich spotkać można jeszcze wiele pozostałości średniowiecznych. Swym pantagruelicznym kpiarstwem bezlitośnie walczy anonimowy autor z pogrobowcami średniowiecza, biorąc za cel swoich ataków przede wszystkim religię: wykpiwa dogmaty, parodiuje Pismo Święte, głosi uwielbienie dla życia świeckiego. Ma on jednocześnie głęboki szacunek dla bohatera plebejskiego, który w licznych facecjach, stanowiących ilustracje „praw", dowcipem i rozumem góruje nad możnymi.

Trzeba stwierdzić, że beztroski humor, którym przesycona jest ta dowcipna książka, działa na współczesnego czytelnika, chociaż oryginał staroczeski ujrzał światło dzienne w r. 1518. Spora w tym zasługa stylizowanego przekładu, który jest niezwykle staranny. Na podobną pochwałę zasługuje opracowanie graficzne Krystyny Radziwiłłówny.

K. F.

„Frantowe prawa", oryginał staroczeski z 1518 r. spolszczył, skomentował i posłowiem opatrzył Józef Magnuszewski; PIW, 1968, str. 60, cena zł 15.

Proces odmładzania się imprezy sopockiej ma szerszy zakres. Punkt ciężkości wystawy przesunął się wyraźnie od koloryzmu, dominującego poprzednio, ku tendencji ekspresjonistycznej z jej charakterystyczną agresywnością, złożonością języka symboli, klimatem dramatu. Przyznać trzeba, że na poprzednim pokazie uciążliwy był już ów koloryzm, tematyka zacisznych krajobrazów, wolność od ryzyka zestawień barwnych, rozegranych według szkoły grupy przedwojennych „kapistów". Wszystko to raziło anachronizmem u autorów, urodzonych około 1938—40 r. i obdarzonych dyplomem około 1963—65. Pisząc wówczas o wystawie młodych, konstatowałam jednoczesne występowanie postawy przeciwstawnej, nacechowanej dramatyzmem. Dziś ta druga tendencja, ekspresjonistyczna, charakteryzująca się ostrością sformułowań plastycznych, jest ogromnie rozpowszechniona w młodym malarstwie (i w młodej grafice, jak tego dowiódł udział debiutantów w Biennale Grafiki w Krakowie), występując zresztą w formach dość zróżnicowanych, od symboliki kształtów abstrakcyjnych, smug ognistych czy rozrastających się żywiołowo kształtów biologicznych o mocno skontrastowanej kolorystyce — aż po figuratywność, spięcia postaci ludzkich, stanowiące przenośnie uwikłań człowieka w tragiczne konflikty. Jednak i ta tendencja, szczególnie w grupie obrazów z pogranicza abstrakcji, które utrzymane są w tonacji „krzyku", niezbyt czytelnego w swojej wymowie — sprawia wrażenie nieprzekonywającej retoryki, arsenału środków już wyeksploatowanych, a zatem nie będących w stanie wywołać szczerej reakcji. Dziś przecież malarstwo dysponuje nowymi sposobami wypowiedzi, włącznie z wykorzystaniem inspiracji „nieartystycznych", sposobami, które pozwalają wyrazić dramaty współczesnego człowieka niejako bez owego „krzyku", a zarazem dobitnie i przejmująco. Dziś i odbiorca ma inny, bardziej uwrażliwiony, system reakcji, więcej potrafi wyczuć intuicją i samodzielnie toczącymi się skojarzeniami, zna bowiem, jednocześnie ze znajomością nowego malarstwa, także nowoczesne środki wyrazu muzyki, poezji, filmu i masowych środków informacji, takich jak plakat, wie zatem, że symbolika osadzona w dniu dzisiejszym musi posługiwać się systemem obrazowania, właściwym dla współczesnej cywilizacji.

Tacy poszukujący, niestety, niezbyt liczni, artyści, są wśród młodej generacji polskich malarzy, grafików i rzeźbiarzy. Nie wszyscy oni uczestniczyli w Ogólnopolskiej Wystawie Młodych w Sopocie, kilku z nich znamy z wystaw grupowych, np. w Galerii Współczesnej czy Galerii Foksal w Warszawie, inni być może ograniczają swoją działalność wystawienniczą do rodzinnego Krakowa, Wrocławia czy Łodzi.

Środowisko, posługujące się wyrazistymi, niemal literackimi środkami wyrazu, stanowi grupa z Krakowa pod nazwą „Wprost" która zdobyła nagrodę przyznaną przez krytyków warszawskich za najciekawszą wystawę, otwartą w stolicy w ciągu ubiegłego roku. Najdojrzalszy z nich, Leszek Sobocki, ucieka się do operowania materiałem „gotowym" — rzekoma reprodukcja kennkarty okupacyjnej, fotografia z dowodu tożsamości, transapertową „wcierka", czyli pozaartystycznymi technikami obrazowania. Spośród jego kolegów nieco młodszych, którzy uczestniczyli w bieżącym roku w wystawie sopockiej, najciekawszy jest rzeźbiarz, Jacek Waltos, autor niewielkich sylwetek ludzkiej postaci, wykonanych w cemencie, w których np. psychiczne odczucie braku bliskiej osoby wyobraża wyraźny odcisk nagiego ciała kobiety, odbity na postaci mężczyzny, uformowanej bardzo ogólnikowo, jakby anonimowo. Imaginacyjne obsesje i doznanie zaszczucia przez innych stara się uzmysłowić grafik Andrzej Nowacki z Bydgoszczy, formami ściśle figuratywnymi, scenami z tłumem mijającym człowieka z dala, na dystans całej białej, prawie pustej kompozycji. Malowane bardzo ogólnie sceny grup ludzkich, z luźno nanizanym rysunkiem czarną, kretą linią, Adama Harasa z Wybrzeża, zdają się łączyć lapidarność i swobodę pewnych młodych malarzy europejskich z dynamiczną dyspozycją całości, cechującą pewien okres twórczości Picassa.

Rodzaj „nowej figuracji", które to określenie odnosiło się w swoim czasie do grupy malarzy francuskich, zafascynowanych materialnością świata i zarazem nią rozdrażnionych, ukazujących człowieka i przedmioty jakby w krzywym zwierciadle zdeformowanej perspektywy i zaciekle ostrego koloru, uprawia w Polsce m. in. dwóch malarzy warszawskich, Wiesław Szamborski i Marek Sapeto oraz Jan Świtka z Poznania, wszyscy trzej uznawani za ciekawsze indywidualności młodej generacji. O ile Szamborski, przy całej zjadliwości koloru i spłaszczającej deformacji stosunków przestrzennych, trzyma się w zasadzie reguł „przedstawieniowości", nieco teatralnej w pozytywnym sensie tego słowa, o tyle Sapeto tworzy przede wszystkim „malarstwo o malarstwie" (tak, jak istnieje poezja o poezji, czyli o powstawaniu dzieła poetyckiego). U Sapety skonwencjonalizowanym jak na szkicu plakatu postaciom towarzyszą tła jakby niewykończone, plamy rozlanej farby jakby przypadkowe, zarysy sprzętów tylko zamarkowane, a nawet odbicie śladu butów. Jan Świtka nie jest tak „bajecznie kolorowy", jak Szamborski i Sapeto, pamiętam go nawet jako autora obrazów bardzo ciemnych, monochromatycznych, ze słabym zarysem postaci ludzkich, ale jego koncepcja nowej perspektywy jest dziś bardziej radykalna niż tamtych dwóch autorów. Pojmuje on obraz jako pojedynczą klatkę filmową, gdzie szybki gest człowieka czy dynamiczny układ grupy urwany jest jakby nagle przez ramę, każąc oczekiwać dalszego ciągu sekwencji. Ta sekwencja na jednym z obrazów Świtki toczy się zresztą rzeczywiście w kilku kolejnych kadrach, ukazujących coś na kształt biegu zaaferowanych czymś ludzi („Akcja").

Decyzję przekroczenia granicy pojęcia malowania czy rozmalowywania obrazu podjęło kilku młodych artystów z Warszawy, którzy w ogóle wystawili swe prace po raz pierwszy parę miesięcy temu. To oni, z całą konsekwencją unicestwili różnice między fakturą, przysługującą dotychczas malarstwu sztalugowemu, a plakatowym sposobem położenia farby, plakatową intensywnością i czystością koloru, plakatowym znakiem, odnoszącym się bardzo syntetycznie do zarysu człowieka. Jan Dobkowski na płaskiej, krzyczącej zieleni jakby wycina równie płaską, krzyczącą czerwień sylwetki dziewczyny, dwa razy powtórzona; kiedy indziej postać mężczyzny unerwia żyłkami czerwieni, jak na schematycznej planszy w atlasie anatomicznym. Jego koledzy, Jerzy Ryszard Zieliński i Olaf Krzysztofek, także pozwalają sobie czerpać inspirację z np. grafiki drukowanej i porzucić wszelką malarskość. Próby tych młodych autorów, których nie ujrzymy na wystawie sopockiej, i którzy wystawiają w galeriach warszawskich (Galerii Współczesnej, a Andrzej Bereziański z Poznania — w Galerii Foksal), zasługują w przyszłości na przychylną uwagę. Odwołują się bowiem do wrażliwości człowieka współczesnego, w której percepcja malarstwa, czy w ogóle sztuk plastycznych, nie stanowi sfery izolowanej, lecz wymaga i od autora i od widza świadomości przemian cywilizacyjnych, przemian dokonujących się we wszystkich dziedzinach komunikowania się człowieka z człowiekiem.

10 lat „Czołówki"

„Czołówka" zdobywa widza. Coraz więcej filmów z jej znakiem trafia do kin, do TV. Poszukiwanie istotnych, frapujących tematów, dbałość o artystyczne i sugestywne ich wyrażenie, to ambicja i szansa „Czołówki". Szansa wykorzystania powszechnych zainteresowań sprawami obronności i historii walk narodu. Szansa lekcji patriotyzmu.

— Pomówmy więc o niej — zwracam się do ppłk. STEFANA ZIELIŃSKIEGO, redaktora naczelnego Wytwórni Filmowej „Czołówka".

PPŁK S. ZIELIŃSKI: — Przed dziesięciu laty powstała Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego — „Czołówka". Ale tradycje tej Wytwórni są znacznie starsze. Zbiegają się z inną, również w bieżącym roku obchodzoną rocznicą dwudziestopięciolecia Ludowego Wojska. Pierwsza „Czołówka" im. Tadeusza Kościuszki została zorganizowana, jako samodzielna jednostka filmowa wraz z formującą się wówczas Polską Armią. Wydarzenie to miało miejsce w styczniu 1943 r. w Sielcach. Członkowie I „Czołówki" przebyli ofiarnie cały bojowy szlak. Przy wydatnej pomocy kinematografii radzieckiej powstały filmowe dokumenty walki, a potem świadectwo ustrojowych przemian: „Przysięgamy ziemi polskiej", „Polska walcząca", „Walka o Kołobrzeg", „Zagłada Berlina" i inne.

ODGŁOSY: — W 1945 r., kiedy powołano do życia „Film Polski" „Czołówka" została zlikwidowana?

PPŁK S. ZIELIŃSKI: — W 1958 r. reaktywowano ją. Warunki naszej pracy były bardzo trudne — pracowaliśmy w kilku skromnych pomieszczeniach w Rembertowie. Bardzo cierpieliśmy na brak podstawowego sprzętu, mieliśmy również poważne trudności ze zdobywaniem realizatorów filmowych. W początkowych latach naszej działalności produkowaliśmy filmy przeznaczone dla potrzeb wojska, a więc instruktażowe, dydaktyczne, których zadaniem było szkolenie i wychowywanie młodych kadr żołnierskich. Realizowaliśmy również utwory typu propagandowego, popularyzujące wojsko wśród społeczeństwa. Z czasem rozpoczęliśmy realizację filmów na zlecenie rozmaitych instytucji, finansujących ich produkcję, a więc Ministerstwa Obrony, Ministerstwa Oświaty, Telewizji. Tak to, ze względu na dojrzałość ideową, wyższy poziom artystyczny, filmy „Czołówki" spełniały coraz poważniejszą rolę tak w procesie szkolenia żołnierzy, jak patriotycznej edukacji społeczeństwa.

ODGŁOSY: — Jak przedstawia się bilans 10 lat twórczej pracy „Czołówki"?

PPŁK S. ZIELIŃSKI: — Zrealizowaliśmy około 600 filmów historycznych, publicystycznych i informacyjno-propagandowych. 260 spośród nich trafiło do ogólnego rozpowszechniania, 35 zdobyło nagrody i wyróżnienia na konkursach i festiwalach. Na zwiska twórców czołówki — Wincentego Ronisza, Jana Chodkiewicza, Jerzego Wolena i innych zaczęły się liczyć w dorobku polskiego filmu krótkometrażowego.

ODGŁOSY: — Filmy zrealizowane przez zespół „Czołówki" — „Wietnamu dzień powszedni" Koziarskiego „Głód broni" Sieńskiego, „Pamięć tamtych dni" Kamieńskiej, świadczą o umiejętności reagowania na wzmożone zainteresowania społeczne.

PPŁK S. ZIELIŃSKI: — Zaangażowanie w aktualia społeczne i polityczne uważamy za jeden z naszych podstawowych obowiązków. Stąd „Al fine" Ronisza, stąd „Pasterze" Sokolenko — o błogosławieństwach episkopatu niemieckiego dla hitlerowskiego ludobójstwa, stąd „Dokąd idziecie" Wolickiego, film o rewizjonizmie i zbrojeniach w NRF, stąd wreszcie wzmożone staranie o filmowe utrwalenie udziału narodu w zwycięstwie nad niemieckim faszyzmem. Na podstawie dokumentacji, trzeba utrwalić obraz i słowo najbardziej wiarygodnych świadków niedawnej historii. Zresztą stało się to już koniecznością, ponieważ posiadane przez nas zbiory archiwalne zostały wyeksploatowane. Coraz trudniej robić filmy montażowe w rodzaju „Skok na Arnhem", czy „Generał Walter" — trzeba szukać innych rozwiązań. Taśma filmowa, materiały ikonograficzne, rekonstruowanie zdarzeń historycznych, relacje świadków — wszystko to chcemy podporządkować zamysłom twórczym, których podstawowym celem będzie chęć włączenia się do ogólnonarodowej dyskusji o tradycjach, o historycznym doświadczeniu, o dniu dzisiejszym i przyszłości.

ODGŁOSY: — Wielką sympatię dla żołnierzy budzą ciepłe w nastroju, pełne kapitalnych obserwacji i humoru sytuacyjnego filmy Jana Chodkiewicza, takie jak na przykład „Preludium", czy „Kroki". Z dużym zainteresowaniem oglądamy również filmy, które ukazują skalę techniczną możliwości wojska.

PPŁK S. ZIELIŃSKI: — Pokazać technikę jest stosunkowo łatwo. Niestety, filmowe zapasy z człowiekiem są o wiele trudniejsze. Dotychczas najlepiej wychodzi z nich właśnie Chodkiewicz. Jest w jego filmach ślad żołnierskiej psychiki, są żołnierskie twarze, które się pamięta. Pragniemy takich filmów robić jak najwięcej, by z filmami historycznymi i ostrą publicystyką stanowiły naszą specjalność, nasz profil i styl.

ODGŁOSY: — Jakie treści niosą obecnie przygotowywane w „Czołówce" filmy?

PPŁK S. ZIELIŃSKI: — Przygotowujemy m. in. filmy o udziale II Korpusu w walkach o Monte Cassino, o legendarnym oddziale majora Hubali, film o antyhitlerowskim ruchu oporu Kaszubów, o akcji Szarych Szeregów pod warszawskim Arsenałem, o wybitnych akcjach odwetowych Gwardii Ludowej w Warszawie. Chcemy dać świadectwo walki wyzwoleńczej prowadzone w czasie okupacji przez GL i AL, BCh i AK, świadectwo zbrodni hitlerowskich, które dziś usiłuje się pomniejszać w NRF. Temu drugiemu celowi służyć mają m. in. pozycje: „Królestwo Hansa Franka", „Zbrodnia Wehrmachtu", „Wyrok na miasto", „Generał Blaskowitz w potrzasku". Jeśli filmy te będą sprzyjać nastrojom obronności i patriotyzmu, wówczas będziemy mieć poczucie iż „Czołówka" osiąga swój programowy cel.

Rozmawiała:

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

MARTA CEDROWSKA

Różane ukontentowanie

Ogólnopolska Wystawa Ogrodnicza 68 ma miejsce w Chorzowie, w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku, gdzie po raz pierwszy w Polsce — pod protektoratem ministra rolnictwa i ministra gospodarki komunalnej — została zorganizowana Międzynarodowa Wystawa Róż. Tutaj ogrodnicy 11 krajów europejskich prezentują najpiękniejsze odmiany róż: wielkokwiatowych i miniaturek, przemysłowych i handlowych parkowych i ogródkowych. Rosną one na 5-hektarowym obszarze, na pięknych klombach — poletkach ozdobionych kamyczkami i tłuczką porcelany, węgla i cegły, co na tle soczystej zieleni trawników wygląda malowniczo zarówno w dzień, jak i o zmierzchu, gdyż poletka podświetlone są nisko umieszczonymi lampami. Pomyślano też, aby 600-hektarowy park ozdobić nie tylko różami. Rabaty różnokolorowego kwiecia, grupki parkowych krzewów iglastych i liściastych, dywaniki niskopiennych kwitnących roślin górskich, miniaturowy ogródek japoński z podłużnymi sadzawkami i kolorowymi latarkami, przeplatają się z fauną w... kamieniu, drzewie, metalu (fontanny — ryby, fontanny — pelikany, czy też grupka 3 jelonków i para pawi z umieszczonym w ogonie zegarem na tle „pawich oczek" ze stopionego szkła).

To na powietrzu. A teraz o różach ciętych. Tu szał różany kolorowej kompozycji woni zgrupowany jest w specjalnie zbudowanej białej hali, gdzie o palmę pierwszeństwa ubiegają się zarówno indywidualni ogrodnicy-amatorzy, jak i producenci zrzeszeni w ogrodnictwach państwowych i spółdzielczych oraz zarządy zieleni miejskiej. Tak więc prezentują się bogato: śnieżnobiałe róże Virgo, Schnee Witchen, różowobiałe: Isabel de Ortiz, Koenigliche Horn, żółte: Royal Gold, Kings Ramson, różowe: Royal Higness, Junior, Romantica, łososiowe: Elisabeth of Gladys, morelowe: Miss Ireland, koralowe: Queen Elisabeth, dwukolorowe srebrno-czerwone Bajazzo i Eve i cała gama odcieni róż czerwonych. Są nawet o kolorze lila.

Wśród tego urzekającego bogactwa róż wielkokwiatowych pokaźne miejsce zajmują wesoło wyglądające miniatury-liliputy, o zaledwie kilkucentymetrowych barwnych kwiatostanach. Z tych, to różyczka M-2 oraz nieco większe, o surowej nazwie, różowe Margo Kostel.

Jak widać z przytoczonych nazw — a jest ich około 250! — róże mają swe imiona w różnych językach i w tych też nazwaniach „żyją" poza swymi ojczyznami, są więc jak esperanto — międzynarodowe. Nazwy zapożyczone są od imion żeńskich, jak np. Barbara, Elisabeth, wkraczają do astronomii (Super Star) i abstrakcji (Glory Day), zahaczają o gastronomię (Cherry Brandy, Papryka), nie ominęły nawet majestatu królewskiego, jak np. Queen Elisabeth, Kings Ramson; nazwy wyrażają również uczucia radości, jak „Hurra", a wszystkie inne to naprawdę „Tip-Top" (także nazwa!). Kolory róż przyjęły się w świecie ludzkim, jako wyraziciele cnót, czy uczuć: czerwone — miłości, żółte — zazdrości, białe — niewinności, różowe — subtelności.

O różach na wystawie wyrażać się trzeba przymiotnikami w III stopniu, mało, w superlatywach. Co chwila okrzyk zachwytu. Nic dziwnego, wyhodowali je artyści-ogrodnicy. Wystawę ozdabiali artyści plastycy i artyści-architekci, o różach deklamują wiersze artyści śląskich scen i śpiewają piosenkarze katowickiej Agencji Imprez Artystycznych. Jest nawet Zgaduj-Zgadula pt. „Wszystko o róży". O róży ma wiele do powiedzenia chemia (perfumy i kosmetyki), gastronomia (konfitury i nalewki na owocach dzikiej róży), filatelia, a miasto uniwersyteckie Grenoble ma w swym herbie... 3 róże. Całe to rosarium konfiturowo-poetycko-graficzne wykonane jest najnaj-naj. Jak żaden inny kwiat r ó ż a „żyje" z człowiekiem na co dzień w każdej porze roku i na każdej szerokości geograficznej: róża — to pamięć, róża — to wdzięczność, róża — to miłość, róża — to ozdoba człowieka i jego otoczenia. Różane ukontentowanie na OWO-68, zaspokaja gusty wybrednych gości krajowych i zagranicznych. Słyszy się tu obce języki i widzi „spacerujące wolnym kroczkiem" po szerokich alejach parku polskie „fiaty" i „syreny", niemieckie „wartburgi" i „trabanty", francuskie „simki" i „renaulty" z zagranicznymi numerami rejestracyjnymi ich właścicieli. Nic dziwnego: Międzynarodowa Wystawa Róż, o której na miejscu głoszą piękne plakaty. Szkoda, że ich brak w Łodzi.

Na zakończenie coś dla łodzian: I nagrodę za osiągnięcia w hodowli i medal „Złotej Róży" otrzymało Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze. Brawo! Ośmielam się zaproponować zwycięzcy: a może by tak i w Łodzi zawiązać Towarzystwo Miłośników Róż? A może z czasem i wystawę urządzić?

Bez strachu

KIEDY WYPADNIE GRZEBIEŃ

Kiedy wypadnie z kieszeni grzebień, gdzieś w przypadkowym miejscu i brzęknie cicho o bruk, czy też o podłogę, z kieszeni, w której noszę za zwyczaj pióro osadzone w materiale nasadką, otóż kiedy wypadnie z kieszeni grzebień spoglądam w dół i spodziewając się zamiast długiego, czarnego grzebienia zobaczyć długie czarne pióro — widzę je przez mgnienie leżące w dole, widzę błysk złotej skuwki. Myślę — „to wypadło pióro — czy aby się nie popsuło?!" Pochylam się, nie widzę już błyszczącej skuwki, bowiem to grzebień, a nie pióro wypadło mi z kieszeni... Dlaczego zatem kiedy wypadł z kieszeni grzebień widziałem zamiast grzebienia pióro? Grzebień noszę w kieszeni tylko niekiedy, pióro natomiast zawsze — zazwyczaj wypada mi z kieszeni pióro — spodziewałem się więc, że to pióro, a nie grzebień wypadło na podłogę. Moment oczekiwania w tej drobnej sprawie — nieproporcjonalnie silny w stosunku do jej znaczenia spowodował powstanie krótkotrwałej iluzji. Kiedy spotykam bardzo młodego poetę, który pokazuje mi wiersze, a wiem o tym, że bardzo młodzi poeci zazwyczaj komplikują formę wiersza, czytając pokazany wiersz przez moment uważam, że jest on formalnie bardzo skomplikowany, niekiedy w miarę czytania przekonuję się, że wiersz jest prosty i ciekawy, a moje uprzedzenie i oczekiwanie pretensjonalnej zawiłej formy było dla bardzo młodego autora niezmiernie krzywdzące.

Każdy człowiek, o którym mniemamy to dwa różne byty: nasze usystematyzowane, zbudowane z dotychczasowych doświadczeń, wyobrażenie tego człowieka oraz on istniejący dziejący się poza nami. Na widok owego człowieka natychmiast dodaję do niego moje wyobrażenie o nim — powstaje osobliwy zrost, fuzja człeko-wyobrażeniowa i dopiero w powolnej analizie muszę oddzielić wyobrażenie od przybyłego człowieka — ujrzeć go takim jakim stał się w bezustannych zmianach, którym podlega. Wydawać by się mogło, że moje doświadczenie jest przeszkodą, a nie pomocą w poznawaniu świata — oczywiście tak nie jest, bo właśnie doświadczenie pozwala mi ujrzeć błędy mego poznania. Czy istotnie na widok każdego podchodzącego mam zetrzeć w sobie wszelkie o nim wyobrażenia i patrzeć na niego pierwszym spojrzeniem? Przecież przybyły człowiek i ja tworzymy nowy element rzeczywistości, tworzymy sytuację, w której istnieje możliwość przekształcenia jednego z nas przez drugiego, być może jeden z nas jest z usposobienia uczniem, a drugi pedagogiem. Oczywiście grzebienia, który wypadł z kieszeni nie zmienię mimo chwilowej omyłki w pióro — zupełnie inaczej mają się sprawy z człowiekiem. Różnica w możliwości dokonania przemian jest tak wielka, jak różnica pomiędzy grzebieniem a człowiekiem.

BERNARD SZTAJNERT

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

WKRÓTCE będziemy mogli zapoznać się z filmem, reprezentującym rumuńskie „nowe kino" pt. **„Poranki młodości"**. Reżyser pokusił się o przedstawienie syntetycznego rysunku obyczajowego i psychologicznego środowiska współczesnej młodzieży rumuńskiej. Przedsięwzięcie nader ambitne, zwłaszcza, że przekazać to pragnął językiem współczesnego dramatu filmowego. Bohaterem filmu jest dwudziestokilkuletni młodzieniec, który po ukończeniu gimnazjum i „oblaniu" egzaminu na studia, podejmuje pracę w gigantycznym kombinacie przemysłowym. Chłopak, jak przystało na bohatera „nowofalowego", jest wewnętrznie niespoisty i skłócony, obraz jego duchowych rozterek rysuje się poprzez szereg oderwanych od siebie epizodów, nanizanych luźno na wątłą nić fabularną. Manieryczny i malowniczo zasępiony, łudząco przypomina dziesiątki bohaterów współczesnych dramatów psychologicznych kategorii C-pictures. Bohater taki nie chodzi, lecz snuje się lub biega, nie mówi, lecz dywaguje filozoficznie i refleksyjnie na tematy rzędu ostatecznych, nie kocha, lecz „odnajduje się" w ramionach kobiety. Patetyczny i pretensjonalny, by odnaleźć smak życia, pragnie oczywiście umrzeć, niestety, jacyś brutale robią mu trywialne płukanie żołądka, lub zestawiają pękniętą kończynę i, jak domyślamy się — bo film kończy się zwykle dramatycznym momentem zawieszenia, bohater żyje długo i szczęśliwie.

Jest to film, analogicznie do naszego rodzimego tworu pt. „Sam pośród miasta", stanowiący produkt wtórny autentycznej „nowej fali" adoptujący jedynie zewnętrzne, czysto techniczne rozwiązania formalne i powielający znane powszechnie stereotypy. Reżyserzy takich filmów, jak Andrej Blaier, nie dostrzegają zwykle nowej problematyki współczesnej kinematografii, obsesje wolności u Godarda, pamięci u Resnaisa, samotności u Antonioniego, uchodzą ich uwagi. Dostrzegają zwykle tylko efektowną stylistykę, ekwilibrystyczne ruchy kamery, specyficzny montaż, czyli cały ten sztafaż zewnętrzny, który sygnalizuje tylko meritum sprawy.

Kinematografia rumuńska zauroczona nowinkami warsztatowymi sprzed dziesięciu lat, do tej pory nie potrafiła odnaleźć formuły, pozwalającej przy pomocy współczesnego języka filmowego, stawiać własne problemy, włączając się do powszechnej dyskusji na temat współczesnego życia.

* * *

JESZCZE na ekranach kinowych utrzymuje się druga seria przygód pięknej Angeliki, a już wkrótce znajdzie się w rozpowszechnianiu następny film, opowiadający o perypetiach ponętnej awanturnicy z XVII wieku pt. **„Angelika i król"**. Nieprawdopodobne sukcesy kasowe tej serii we Francji, powtórzyły się i w Polsce, gdzie przedsiębiorcza markiza zyskała sobie zastępy przyjaciół.

No cóż, filmowi owszem, sensu brak, lecz kolorowy, panoramiczny sex-appeal Michele Marcier, orientalny wdzięk spowitego w jedwabie Sami Freya, kalejdoskop barwnych intryg i awantur i solidny warsztat reżyserski, to dostateczny pretekst do obejrzenia filmu.

Jest to zdecydowanie najsłabsza część przygodowego tryptyku, intryga fabularna zawikłana tak misternie i dokładnie, iż często mamy trudności z identyfikacją wątku. Ponadto reżyser bombarduje nas serią najbardziej nieprawdopodobnych przypadków, inscenizuje okoliczności fantastyczne nawet dla tej konwencji — jakość przeradza się w ilość — furda logika, byle coś się działo! Przedziwna jest metamorfoza, jakiej podlegają pewne istotne wartości z dziedziny naszego życia w filmie przygodowym z serii „płaszcza i szpady".

A więc nauka, polityka, miłość i zbrodnia, a z nią śmiercionośne peniuary i sorbety, „czarna msza" i ofiara z niemowlęcia, tortury, egzekucje i skrytobójstwa — publiczność bawi się do łez.

Film przygodowy zamienił się w autentyczny komiks, a kondensacja cech konwencji „płaszcza i szpady", prowokuje widza do potraktowania obrazu w kategoriach parodii odnośnego gatunku.

E. L.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

70-LECIE URODZIN HENRY MOORE'A

★ Syn górnika, jeden z najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy, Henry Moore obchodzi 70-lecie swych urodzin. Z tej okazji odbywa się obecnie, kolejno w szeregu miast Holandii wystawa dzieł wielkiego angielskiego artysty. Równocześnie w londyńskiej Tate Gallery otwarto wielką, retrospektywną wystawę dzieł Moore'a. Wystawa holenderska ukazuje rzeźby, rysunki i szkice powstałe na przestrzeni czterdziestu pięciu lat działalności artystycznej Henry Moore'a.

Henry Moore. „Reclining woman". 1927.

Różnorodna i bogata jest twórczość rzeźbiarza. Henry Moore, twórca niezwykle oryginalny, zafascynowany bywał twórczością zarówno starożytnych Egipcjan, jak dziełami ludów Meksyku, czy Afryki. Jego ulubionym, obsesyjnym niemal tematem jest „Reclining woman", postać leżącej, wypoczywającej kobiety, wspartej na ramieniu. „Reclining woman" przez lat czterdzieści ustawicznie powtarza się, jako motyw i to w najrozmaitszych wariantach. Henry Moore rzeźbi „wypoczywającą kobietę" w kamieniu i drzewie, odlewa w brazie, rysuje. Czasem są to małe figurki nie większe niż 20—30 centymetrów długości, innym razem — monumentalne dzieło długości dwu i pół metra. Henry Moore ma jeszcze inne ulubione tematy: król i królowa, matka i dziecko, wojownicy. Tworzy też dzieła abstrakcyjne, choć te należą w bogatej twórczości artysty raczej do rzadkości. Jedno wszakże jest charakterystyczne

dla twórczości tego artysty, który podobnie, jak Picasso nie trzyma się jednej maniery czy stylu, a tą charakterystyczną cechą jego dzieł jest ekspresja i swoista synteza form tradycyjnych z całkowicie nowoczesnymi.

MOLIER NA ULICACH MANHATTANU

★ W lipcu, kiedy w starej nowojorskiej dzielnicy Manhattan panował okropny upał, a termometry wskazywały 36 stopni, przy chodniku zatrzymała się ciężarówka. Była godzina 17.30, kiedy policja ustawiła bariery, aby zahamować ruch uliczny.

W taki sposób, przypominający nieco początek powieści sensacyjnej, korespondent paryskiego dziennika „Le Figaro" opisuje przedstawienie wędrownego teatru, wystawiającego sztuki wprost na ulicy, w murzyńskiej dzielnicy Nowego Jorku, Manhattan.

Ciężarówka wkrótce zamienia się w scenę z dekoracjami. Na początek wędrowny teatr gra adaptację opowiadania Czechowa, potem sztukę Moliera „L'Etourdi" (Trzpiot), tłumaczoną na angielski i dość dowolnie adaptowaną. Sztuka grana jest żywo, pełna dowcipnych sytuacji i pomysłów, które nieraz nie znajdują się w tekście sztuki Moliera. Widzowie oglądają spektakl darmo. Przedstawienia prowadzone są przez dwie panie: Phoebe Bardndt i Patricię Reynolds

Wprawdzie — jak to zauważa korespondent „Le Figaro" — Molier miałby zapewne trudności w rozpoznaniu swego tekstu, ale z pewnością przyklasnąłby wystawianiu jego sztuk na ulicy w dzielnicy czarnej biedoty i byłby zadowolony, że jego utwór cieszy się taką samą popularnością, jak trzysta trzynaście lat temu, gdy „L'Etourdi" wystawiony był po raz pierwszy w Lionie.

ŚMIERĆ WŁOSKIEGO PISARZA

★ W wieku lat sześćdziesięciu zmarł na atak serca popularny pisarz włoski Giovanni Guareschi.

Urodzony w Roccabianca koło Parmy mając lat 21 współpracował początkowo z jednym z dzienników tego miasta. Już wtedy ujawnił swój pisarski talent, cięte polemiczną i zmysł humoru. Wojna przerywa jego działalność dziennikarską. Guareschi zostaje wywieziony do Niemiec, gdzie przebywa w obozie koncentracyjnym.

Po wojnie wznawia swą działalność dziennikarską i równocześnie zaczyna pisać książki. Sławę przynosi mu cykl powieści o „Don Camillo" zapoczątkowany tomem pt. „Mondo piccolo: Don Camillo" (Mały światek: Don Camillo). „Don Camillo" został także sfilmowany, a w roli tytułowej wystąpił Fernandel, rolę burmistrza zagrał Gini Cervi.

Ci, którzy znali osobiście Giovanniego Guareschi twierdzą, że jego żywe spojrzenie, krępa sylwetka, olbrzymie wąsiska, smakoszostwo, składały się na postać jakby wyjętą z jego własnych powieści. Pisarz nie rezygnując ze swych zamiłowań literackich otworzył w Bucceto, rodzinnym mieście Verdiego, niedaleko Parmy, restaurację, na której szyldzie widniało nazwisko głównego bohatera jego powieści „Don Camillo". Podobno można było tam zjeść znakomite potrawy sporządzone według pomysłów kulinarnych sławnego pisarza.

CZY GIOCONDA BYŁA... MĘŻCZYZNĄ

★ Od jakiegoś już czasu odzywały się głosy, że modelem do słynnego obrazu Leonarda da Vinci „Gioconda" nie była Mona Lisa, żona weneckiego kupca, ale jakiś mężczyzna. Ostatnio — jak informuje paryski dziennik „Le Figaro" — francuski piosenkarz Jean Rigaux miał podobno oświadczyć, że odnalazł twarz modela pozującego do obrazu „Giocondy" na innym płótnie. Otóż Rigaux zwiedzając galerię obrazów w Savonie we Włoszech zwrócił uwagę, że na obrazie przedstawiającym Jezusa wśród uczonych, centralna postać ma rysy podobne do „Giocondy". Obraz który zwrócił uwagę Jeana Rigaux nie wyszedł spod pędzla samego Leonarda lecz jego ucznia Bernarda Luini. Rigaux twierdzi, że jeden i ten sam mężczyzna pozował do obrazu ucznia Leonarda da Vinci jak i do dzieła mistrza „Giocondy".

BALET DLA MEKSYKU

★ Pod kierownictwem Michela Descombey balet opery paryskiej udaje się do Meksyku, gdzie w sierpniu da szereg przedstawień opartych na „Symfonii klasycznej" Prokofiewa.

TV OBIEKTYW

WOJNA NA EKRANIE

Wojna w Wietnamie przypadła na okres poważnego rozwoju techniki telewizyjnej. Dlatego jest pierwszą wojną tak szeroko relacjonowaną na ekranach TV. Podczas II wojny światowej telewizja była jeszcze w powijakach, autentyczne zdjęcia operatorów filmowych trafiały tylko do kin. Dopiero krwawe wydarzenia wietnamskie, dzięki rozbudowanej w setki milionów odbiorników sieci telewizyjnej, oglądane są we własnych mieszkaniach przez dużą część ludności naszego globu.

Amerykańscy agresorzy zaczęli niemal od początku wojny przekazywanie szerokiej informacji telewizyjnej o jej przebiegu. Prawdopodobnie u źródeł leżało przekonanie, że będzie to wojna łatwych sukcesów. Operatorzy telewizji amerykańskiej docierali więc do pierwszej linii frontu, przelatywali w helikopterach nad dżunglą kontrolowaną przez Wietnamską Armię Wyzwoleńczą, a nawet nad pozycjami sił wyzwoleńczych. W miarę jak walka zaczynała się zaostrzać i rozwiewały się iluzje o łatwym zwycięstwie, informacja telewizyjna nie osłabła, lecz przeciwnie zyskiwała na rozmachu.

Jakie były tego przyczyny? Zainteresowanie całego świata wydarzeniami w Wietnamie, podziw dla męstwa sił wyzwoleńczych, a czasem i zwykła ciekawość powodowały wzrost zapotrzebowania na informację telewizyjną. Śladem operatorów amerykańskich, na tereny walk docierają przedstawiciele telewizji innych krajów. Na ekranach telewizyjnych wojna zaczyna ukazywać swoje prawdziwe, codzienne oblicze. To już nie pozorowane zdjęcia wypoczętych i pewnych siebie żołnierzy amerykańskich. Oglądamy ich w sytuacjach nieraz bardzo niekorzystnych, wycofujących się, lub wręcz uciekających pod miażdżącym obstrzałem artylerii i moździerzy przeciwnika. Widzimy ich zdenerwowane i przemęczone twarze. Patrzymy, jak gorączkowo ładują do helikopterów swoich rannych.

Nawet wbrew intencjom operatorów, zdjęcia te muszą budzić refleksje, uczyć szacunku dla małego narodu, tak bohatersko walczącego z potężnym agresorem, rodzić sprzeciw wobec tej barbarzyńskiej wojny. Odwrotny także, w stosunku do zamierzonego, skutek wywołują zdjęcia relacjonujące „sukcesy" amerykańskie. Więc nieludzkie bombardowania lotnicze, pacyfikacje wsi podejrzanych o sympatię z Frontem Wyzwolenia, brutalne przesłuchiwania schwytanych mieszkańców, podpalanie domostw.

Te ponure obrazy muszą wywoływać protest wśród uczciwych ludzi na całym świecie. Dlatego szeroko kolportowane przez Amerykanów zdjęcia filmowe, rozpowszechniane przez telewizje różnych krajów, w tym i krajów socjalistycznych, przyczyniają się do wzrostu nastrojów wrogich agresji amerykańskiej. Telewizja spełnia tu rolę masowego agitatora, obiektywną wymową przekazywanych obrazów opowiadającego się przeciw kontynuowaniu nieludzkiej wojny.

Dotąd mówiłem o materiałach filmowych napływających do nas z Zachodu. Ale w ślad za nimi zaczęły pojawiać się na naszych ekranach także zdjęcia dokonywane przez operatorów północno- i południowowietnamskich. Zdjęcia te z jednej strony ukazują ogrom zniszczeń spowodowanych nieludzkimi bombardowaniami z powietrza, a z drugiej gotowość bojową i nieugiętego ducha walki w narodzie wietnamskim.

Istnieje wreszcie trzecie źródło bezpośredniej informacji telewizyjnej o wojnie w Wietnamie. Tworzą je operatorzy z krajów socjalistycznych, którzy odwiedzają coraz liczniej bohaterski kraj. W filmach kręconych przez nich nie chodzi już tyle o bezpośrednią relację z walk. Starają się oni dotrzeć do głębszych treści wojennych wydarzeń.

Przykładem takiej właśnie informacji pogłębionej jest powtórzony niedawno polski film telewizyjny pt. „Pan pułkownik ma nadzieję". Dziennikarz polski, Ryszard Święcki, dzięki pomocy władz północnowietnamskich, miał możność przeprowadzić rozmowę z amerykańskim piratem powietrznym, zestrzelonym w czasie nalotu bombowego na mieszkalne przedmieścia Hanoi i wziętym do niewoli.

Podpułkownik Gordon Larsson w czasie rozmowy z naszym dziennikarzem, w niczym nie przypominał butnego zwycięzcy, jakim czuł się jeszcze przed niewielu miesiącami. Jest niespokojny, wyraźnie źle się czuje w zasięgu kamery filmowej. Odpowiada jednak z chętną gotowością. Ma 37 lat i troje dzieci. Na pytanie, czy zdawał sobie sprawę, że od jego bomb ginęły także dzieci, mówi: „Mam nadzieję, że ich zginęło niewiele". Nie zdaje sobie sprawy, ile ironii zawarł sam w tej wypowiedzi.

Dodatkowy komentarz do „nadziei" pana pułkownika stanowi dalsza część filmu: wizyta polskiego dziennikarza w szpitalu w Hanoi, rozmowa z naczelnym lekarzem i z kobietami — ofiarami nalotów, leżącymi w szpitalu. Kamera ukazuje ich dzieci, niemowlęta, poranione ostrym śrutem ze stosowanych przez bestialskiego agresora, bomb kulkowych.

Te maleńkie dzieci, które, zanim świadomie spojrzały na świat, zanim zaczęły go rozumieć, doznały niezasłużonego bólu i cierpienia, stanowią straszne oskarżenie. Siła obrazu telewizyjnego służy w tym wypadku dobrej sprawie, szerzy gniew i refleksję, pobudza do walki z nonsensem barbarzyńskiej wojny.

Władysław Orłowski

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Lektura prasy jest zajęciem pouczającym, ale też nieraz przyprawia o niemałą irytację. Duża irytacja z małych nieścisłości — na tym przecież bazują wszystkie rubryki „Czytelnicy piszą", „Listy do redakcji" itp. Przeczytałem ostatnio interesujący artykuł w „Przekroju" na temat lekarzy-literatów. Nie będę pisał listu do „Przekroju", bo, moim zadaniem, jest dbać o informację moich Czytelników, a nie krakowskiego magazynu. A zatem... Pisze „Przekrój", że autor znanego „Flirtu z medycyną", dr Zbigniew Łapiński „praktykuje jako ginekolog w szpitalu powiatu warszawskiego". Owszem, praktykuje, owszem, jako ginekolog, owszem w szpitalu powiatowym, ale w Łowiczu, które to miasto nie należy ani do powiatu, ani do województwa warszawskiego. Ale to drobiazg. O innym, piszącym lekarzu donosi „Przekrój", że „jest laureatem nagrody poetyckiej Łodzi i województwa łódzkiego". Łódź, o ile mi wiadomo, przyznawała w swoim czasie nagrody literackie (Tuwim, Piechal, Rymkiewicz, Czernik), ale jako żywo, ów lekarz jeszcze jej nie otrzymał. Życzę mu tego z całego serca, ale czy „Przekrój" nie pospieszył się zbytnio z nobilitacją?

WTOREK

Jacek i Agatka. Rodzeństwo-instytucja. Dowcipne teksty Wandy Chotomskiej, oryginalne lalki Adama Kiliana, sugestywna realizacja Zofii Raciborskiej. I cóż się okazuje. Nawet twórcy i niejako „właściciele" tej sympatycznej pary nie wiedzieli, że Jacek i Agatka stanęli przed... Sądem Najwyższym. Tak jest! Trwa spór między Spółdzielnią Pracy z Augustowa, a prywatnym wytwórcą z Warszawy o prawo... produkowania (koszmarnych, niestety), kopii Jacka i Agatki. Sprawa przeszła już przez kilka instancji, a żaden z jurystów nie pomyślał, że przecież prawa do tej oryginalnej koncepcji pacynek ma tylko i wyłącznie jej twórca — Adam Kilian. Najspokojniej w świecie — pomijając autora i twórcę pomysłu — spółdzielnia i prywaciarz kłócą się przed sądem PRL o... cudzą własność. Rozumiem, że adwersarzom idzie po prostu o duże pieniądze. Mnie natomiast idzie o poszanowanie zasad twórczości, o szacunek dla pracy artysty. Nawet gdy wchodzą w grę duże pieniądze, powinniśmy pamiętać o zasadach.

ŚRODA

Morze atramentu zużyto już na rozważania o „polskim pamiątkarstwie". Już w samej nazwie całej sprawy pobrzmiewa ton — ho, ho — nie byle jaki. Coś jak „polska szkoła filmowa". A sprawa jest stosunkowo niewielka — zapotrzebowanie na bibeloty takie sobie, ale w końcu kupujemy te drobiazgi — figurki, obrazki, miniaturki — i chcielibyśmy je mieć w dobrym gatunku. „Ruch" nie chce, czy nie może ruszyć tu palcem — ruszyła głową „Cepelia". I to dobrze, bo jest nawrót do ludowości. Plonem ostatniego konkursu łódzkiego „Cepelii" jest kilkadziesiąt nowych wzorów — rzeźb, pająków, świeczników (duże powodzenie ostatnio!). Wzory te wystawiono w sklepie „Cepelii" przy ul. Piotrkowskiej 99 — zachęcam gorąco do odwiedzin, bo warto. A jeśli ktoś ma zbędne 80 zł, niech kupi prześliczną miniaturę ludowej „skrzyni malowanej". Istne cudo, sam kupiłem, choć biżuterii nie posiadam i skrzynia stoi pusta. Jeśli już jednak o „polskim pamiątkarstwie" mowa, to, aby problem otrzymał rozwiązanie na miarę szumnej nazwy, potrzeba więcej takich właśnie konkursów, więcej sklepów „Cepelii" (w ciągu najbliższych dwóch lat powstanie ich w województwie aż 17) oraz... mniej słonych cen.

CZWARTEK

Niedawno pisałem o koncertach „Harnama", sławą cieszy się też ludowy zespół z Pałacu Młodzieży, ostatnio przyszła wiadomość o sukcesie zespołu tanecznego ZPB im. J. Marchlewskiego na Festiwalu Ludowym w Holandii. Impreza nazywała się „Paradą Narodów" — uczestniczyło w niej 40 zespołów z 12 krajów. Polski, czyli łódzki program transmitowała Eurowizja, recenzje były znakomite i choć regulamin nie przewiduje nagród, tradycją stało się, że najlepszy zespół otwiera zawsze następny kolejny festiwal. To właśnie wyróżnienie stało się udziałem łodzian i w roku przyszłym tancerze od „Marchlewskiego" zainaugurują „Paradę Narodów".

PIĄTEK

Przed wielkimi witrynami nie gromadzą się przechodnie. Wewnątrz puste szare ściany ogołocone z obrazów — Salon Wystawowy przy ul. Piotrkowskiej przeżywa krótki okres ciszy. Na drzwiach wywieszka „Zmiana wystawy". Za parę dni znów zajaśnieją ściany dawnymi prostokątami obrazów, zalśnią połyskliwością werniksu... Teraz jest cisza, tylko mecenas sztuki — Wydział Kultury RN m. Łodzi już odlicza skromną sumkę z owych 200 tys. zł przeznaczonych rocznie na zakupy dzieł plastycznych eksponowanych na łódzkich wystawach. Za parę dni zniknie wywieszka, a pojawią się wielkie afisze zapowiadające nową ekspozycję. A mecenas odstuka na arytmometrze nową pozycję.

SOBOTA

Na skarpie staromiejskiej rosną nowe bloki — nieopodal stanie nowy Dom Kultury. Architekci mówią: „obiekt zamknie południową pierzeję Rynku Starego Miasta". Łodzianie mówią: „W parku śledzia będzie dom kultury". Będzie tu sala widowiskowo-kinowa na 400 miejsc, sale prób zespołów artystycznych, kawiarnia, no i basen — bowiem nie zapomniano także o kulturze fizycznej. Tego rodzaju placówek nigdy nie za dużo — a zwłaszcza na Bałutach, i właśnie w słynnym (choć sława to nie najlepsza) parku „śledzia", gdzie jak dotąd, wiatr i chuligani buszują po alejkach. Nie będę się upierał, że domy kultury rozwiązują radykalnie niełatwe sprawy młodzieży, ale zawsze w jakiś sposób „kanalizują" (to modne ostatnio słowo) energię młodych ludzi. A to już dużo znaczy w sensie kulturalnym i społecznym.

NIEDZIELA

A w niedzielę do kina. I tu przy kasie zamieszanie. Podwyższono ostatnio ceny biletów. Za kolor i szeroki ekran płacimy o 50 proc. więcej, im dłuższy film, tym wyższa cena... Ministerstwo Kultury i Sztuki wyszło z założenia, że jeśli widz chce się na filmie rozerwać — niech płaci więcej; jeśli natomiast zapragnie obejrzeć film wychowawczy lub dokument, zapłaci cenę niższą. Jest to, moim zdaniem, rozumowanie nieco naciągnięte, ale niech tam — może się nie znam. Jak się więc rzekło, filmy szczególnie atrakcyjne kosztować nas będą drożej. Skalę atrakcyjności ustala Ministerstwo. Według niego na przykład kryteria szczególnej atrakcyjności spełnia film „Życie złodzieja". Natomiast pogłoski, że na filmy extra super atrakcyjne będzie wstęp tylko za bony Pekao są zdecydowanie przesadzone.

JERZY WIDOK

ARTUR CONAN DOYLE

Rzymianie

On był olbrzymim Szkotem — grzywa włosów, cała twarz w piegach — w prostej linii potomek Leedsdaylów, tego klanu złodziei i koniokradów. I chociaż miał takich przodków — sam był człowiekiem pryncypialnym i nie pozbawionym zdrowego rozsądku. Sprawował urząd radcy miejskiego w Malrose, a także był przewodniczącym w miejscowym oddziale Związku Młodzieży Chrześcijańskiej. Nazywał się Brown, a to nazwisko można było zobaczyć na szyldzie „Brown and Handleside" znajdującym się przy sklepie spożywczym na High Street. Jego żona, Maggie Brown, nazwisko panieńskie Armstrong, pochodziła ze starej fornalskiej rodziny. Maggie była smagła i ciemnooka z niezwykłym jak na Szkotkę, nerwowym usposobieniem. Trudno jest sobie wyobrazić parę bardziej kontrastową niż ta, jaką tworzyli: potężny rudy mężczyzna ze smagłą i nieduża kobieta, a oprócz tego zarówno jego jak i jej rodzina swoje pochodzenie wywodzili właśnie z tej szkockiej ziemi, o czym najstarsi i pamiętliwi jej mieszkańcy mogli zaświadczyć.

Pewnego razu (była to pierwsza rocznica ich ślubu) pojechali, by obejrzeć odkopaną rzymską twierdzę w Newstand. Miejscowość okazała się niezbyt malownicza. Z północnego brzegu Tweedu, akurat stamtąd, gdzie rzeka zatacza łuk, stacza się pole. Właśnie przez nie przeszły transzeje archeologów, obnażając w niektórych miejscach starą, kamienną kładkę — podstawę starożytnych murów. Wykopalisko było wielkie, ponieważ obóz zajmował pięćdziesiąt akrów, a sama twierdza — piętnaście. Ale pan Brown znał pewnego farmera — właściciela pola i to mu ułatwiło całą wycieczkę. Spędzili długi letni wieczór chodząc za swoim przewodnikiem od transzei do transzei, oglądając fortyfikacje, dziwiła ich stara różnorodność przedmiotów, które miano odesłać do muzeum archeologicznego w Edynburgu. Tego samego dnia znaleziono damską sprzączkę od paska i farmer z wyraźną przyjemnością opowiadał o tym, kiedy nagle spojrzał na twarz pani Brown.

— Pańska żona chyba się zmęczyła — powiedział. — Może odpoczniecie trochę, a potem znowu pójdziemy.

Brown spojrzał na żonę. Naprawdę była bardzo blada, a jej ciemne oczy błyszczały z podniecenia.

— Co się stało, Maggie? Zmęczyłem cię tym chodzeniem!

— Nie, John, chodźmy dalej! To wspaniałe miejsce. Jak w krainie snów: wszystko tu wydaje się być takie bliskie i znane. Czy długo tu byli Rzymianie, panie Kanningham?

— O tak. Wystarczy tylko popatrzeć na doły, w które wrzucano odpadki. A po tym można poznać, ile trzeba czasu, aby wypełnić je po brzegi.

— A dlaczego oni stąd odeszli?

— Jakby to powiedzieć, proszę pani, no, chyba dlatego, że musieli odejść. Tutejsi ludzie powstali przeciwko Rzymianom, nie chcieli ich panowania i wtedy zdobyto i spalono twierdzę. O, widzi pani — ślady ognia na kamieniach.

Szybki, krótki dreszcz przebiegł przez ramiona kobiety.

— Dzika noc... Straszna — powiedziała. — Niebo było czerwone tej nocy i te szare kamienie też się chyba zaczerwieniły.

— Tak, na pewno i one były czerwone — powiedział mąż.

— To dziwne, Maggie, może to na skutek twoich słów, ale teraz jak gdyby widzę wszystko to, co się tu wydarzyło. Żagwie odbijały się w wodzie...

— Tak, żagwie odbijały się w wodzie! I dym wstrzymywał oddech. I dzicy wyli nieprzytomnie.

Stary farmer zaśmiał się.

— Pani chyba będzie pisała opowiadanie o tej starej twierdzy — powiedział. — Wiele osób tu oprowadzałem, ale jeszcze nikt tak o tym nie mówił, jak pani... To jakby ktoś napisał. Nie, tylko dar od Boga...

Wolno szli brzegiem rowu; nagle z prawej strony wynurzył się dół.

— Dół ten miał czternaście stóp — powiedział farmer. — A wiecie, cośmy stamtąd wyciągnęli? Szkielet mężczyzny z włócznią. On chyba tak umarł wczepiony w swoją włócznię. Ale jak się tam dostał ten mężczyzna? Przecież to nie mogiła — bo zmarłych palono. A co pani o tym myśli?

— On uciekał przed dzikusami i sam tam wskoczył — odrzekła kobieta.

— No, cóż, to brzmi bardzo prawdopodobnie. Nawet profesorowie z Edynburga nie potrafiliby tego tak wyjaśnić. Dobrze byłoby, gdyby pani tu gdzieś w pobliżu się znajdowała, kiedy turyści będą mnie molestowali różnymi niezwykłymi pytaniami. A oto ołtarz, który znaleźliśmy ubiegłej niedzieli. A na nim napis. Powiedziano mi, że to po łacinie znaczy, że ludzie z tej twierdzy dziękują Bogu za opiekę nad nimi.

Oglądali stary przepiękny kamień. Górną część jego pokrywały wielkie, głęboko wybite litery.

— A co to oznacza? — spytał Brown.

— Żeby to wiedzieć! — odrzekł przewodnik.

— Valeria Victrix — powiedziała cichym głosem kobieta. Tak nazywał się jeden z rzymskich legionów.

Jej twarz była jeszcze bardziej blada, oczy patrzyły przed siebie nie widząc — tak bowiem patrzy się, spoglądając w mgliste kontury skryte w dalekiej przeszłości.

— Cóż to jest? — krzyknął mąż.

Drgnęła, jak gdyby zbudzona ze snu.

— O czym mówiliśmy?

— O tych literach na kamieniu.

— To na pewno nazwa legionu, który zbudował ten ołtarz.

— Ale ty wymówiłaś jakąś nazwę!

— Coś ty. Skąd mogę wiedzieć, jak on się nazywał.

— Powiedziałaś coś w rodzaju „Victrix" — tak mi się przynajmniej wydaje.

— Chyba usiłowałam odgadnąć. Jakoś dziwnie się tu czuję, jakbym to wcale nie była ja, a ktoś inny.

— Tak, miejsce jest niezbyt przyjemne — powiedział mąż, i w jego odważnych oczach pojawiło się coś w rodzaju strachu. — Ja także się tak czuję. Może już się z panem pożegnamy: trzeba wracać do domu, póki jeszcze nie jest zupełnie ciemno.

Ale małżonkowie nie mogli zrzucić z siebie tego strasznego wrażenia, jakie na nich zostało po wizycie na wykopaliskach. Jak gdyby jakieś fluidy uniosły się z dna mokrych rowów i przeniknęły do krwi. Przez cały wieczór oboje milczeli w zamyśleniu, ale nawet te nieliczne słowa, jakie do siebie wymawiali, świadczyły o tym, że myślą wciąż o tym samym. Brown spał lękliwie i miał straszny sen, obudził się cały spocony, drżący jak przestraszony koń. Rano, gdy już siedzieli przy śniadaniu, spróbował opowiedzieć go żonie.

— A sen był tak wyraźny, Maggie, jak gdyby to była rzeczywistość. Nawet teraz czuję na sobie te ręce całe w lepiącej się krwi.

— No to opowiedz mi, po kolei — poprosiła żona.

— Początkowo leżałem na polu. Ziemia była nierówna, porośnięta wrzosem. Dokoła ciemno, choć oko wykol, ale słyszałem jakiś szelest i czyjś oddech. Wydawało mi się, że po obu stronach są ludzie, dużo ludzi, ale ja nie widziałem nikogo. Czasami głucho brzęczała stal i wtedy kilka głosów naraz szeptało: „sz-sz-sz!". W ręku miałem maczugę obitą żelaznymi gwoździami na końcu. Serce biło mi przyśpieszonym rytmem, czułem, że nadchodzi chwila strasznego niebezpieczeństwa i wielkiej trwogi. Wypadła mi z ręki maczuga i znów w ciemności dokoła usłyszałem głosy: „sz-sz-sz!". Wyciągnąłem rękę i ona dotknęła nogi jakiegoś człowieka leżącego przede mną. Miałem też sąsiadów po bokach, ale wszyscy milczeli.

Potem ruszyliśmy. Wydawało mi się, że całe pole zaczęło spełzać w dół. Na dole była rzeka i garbaty drewniany most. Za mostem płonęły ognie żagwie na murze. Ludzie skradając się, toczyli się w stronę miasta. Ani dźwięku, ani skrzypu, tylko łagodna cisza wokoło. A potem w ciemności rozległ się krzyk człowieka nagle przeszytego bólem do samego serca. Przez chwilę ten samotny krzyk rósł, rozszerzał się, aż przemienił się we wściekły ryk tysiąca gardzieli. Biegłem. Wszyscy biegli. Błyszczało czerwone światło i rzeka zamieniła się w purpurową wstęgę. Teraz zobaczyłem swoich towarzyszy. Ubrani w zwierzęce skóry, z długimi włosami i brodami, bardziej podobni byli do diabłów niż do ludzi. Wszyscy poszaleli z podniecenia — w biegu podskakiwali wysoko, straszliwie rozwierali usta, machali rękami i czerwone błyski tańczyły na ich twarzach. Ja także biegłem, i tak jak wszyscy, wykrzykiwałem przekleństwa. Usłyszałem ogłuszający trzask polan i zrozumiałem, że palisada runęła. Przeraźliwy świst wypełnił uszy. Wiedziałem, że to strzały obok przelatują. Stoczyłem się na dno rowu i zobaczyłem wyciągniętą z góry rękę. Chwyciłem ją i wyciągnięto mnie na mur. Spojrzeliśmy na dół, pod nami byli srebrni ludzie z włóczniami. Kilku naszych skoczyło prosto na włócznie, potem — my, reszta, za nimi. Wybiliśmy żołnierzy zanim zdążyli znowu po tamtym ataku skierować na nas włócznie. A oni głośno krzyczeli jakimś niezrozumiałym dla nas językiem, ale nikomu nie darowaliśmy życia. Przelecieliśmy przez nich jak fala i wdeptaliśmy ich w błoto, bo ich było niewielu, a nas — całe morze.

Znalazłem się pośród domów, jeden z nich płonął. Widziałem jak strugi płomieni przebijają dach. Pobiegłem dalej, teraz byłem już pośród dymów. Ktoś przebiegł przede mną. To była kobieta. Chwyciłem ją za rękę, złapałem za podbródek i zwróciłem jej głowę tak, by światło pożaru padło na jej twarz. Jak myślisz, kto to był, Maggie?

Żona oblizała wysuszone wargi.

— To byłam ja — powiedziała.

Popatrzył na nią w zdumieniu.

— Aleś odgadła — rzekł. — Tak, to byłaś właśnie ty. To nie był ktoś podobny do ciebie, rozumiesz, ale ty we własnej osobie: tę samą duszę zobaczyłem w twoich przerażonych oczach. Byłaś biała i niezwykle piękna w świetlach pożarów. W głowie miałem tylko jedną myśl: zabrać cię stąd, żebyś była moja, tylko moja, w moim domu, tam za wzgórzami. Wczepiłaś się w moją twarz paznokciami. Zarzuciłem ciebie na ramię i zacząłem szukać wyjścia z tego światła płonących domów — z powrotem w ciemność.

I tutaj przydarzyło się coś zadziwiającego, to co spamiętałem lepiej niż wszystko inne. — Co, niedobrze ci, Maggie? Nie opowiadać dalej? Boże! Masz ten sam wyraz twarzy jak wtedy noca w moim śnie? Zapiszczałaś wówczas rozpaczliwie i on przybiegł w płomieniu pożaru. Był z gołą głową, miał kędzierzawe czarne włosy, w ręku trzymał miecz, krótki i szeroki, trochę dłuższy od sztyletu. Rzucił się na mnie, ale potknął się i upadł. Jedną ręką trzymałem ciebie, a drugą...

Żona zerwała się z miejsca, rysy jej twarzy przemieniły się.

— Marko! — krzyknęła. — Mój najdroższy Marko! Ach, ty dzikusie! dzikusie! dzikusie!

Zadźwięczały kubki, a ona padła zemdlona na stół.

* * *

Nigdy nie mówili o tym strasznym wydarzeniu, które było czymś niezwykłym w ich całym małżeńskim życiu. Na chwilę zasłona przeszłości rozsunęła się i mglisty obraz zapomnianego istnienia ukazał się ich oczom. Ale potem zasłona się zamknęła, aby nie otworzyć się nigdy więcej. I oni żyli w swoim ciasnym kręgu — dla męża był to tylko sklep, a dla żony wyłącznie dom — ale mimo wszystko, nowe, szersze, choć niewyraźne horyzonty, objęły ich od czasu tego letniego wieczoru spędzonego przy rozwalonych murach rzymskiej twierdzy.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

Fot. J. Maroszek

Lewym okiem

CAŁĄ GĘBĄ

Niedawno w jednym z łódzkich tramwajów chłopak pocałował dziewczynę. Konduktor zwrócił mu uwagę, że to nieładnie. Cały tramwaj podzielił się na dwa obozy: całować się, czy nie całować? „Głos Robotniczy" ogłosił felietonik, zakończony sakramentalną już formułą: czy to aby nie pruderia?

Nie byłem w Paryżu, ale bywalcy chórem stwierdzają, że ludzie całują się tam na wszystkie sposoby w każdym miejscu i na nikim nie robi to wrażenia. Ponieważ znałem wielu Francuzów, myślę, że i na samych całujących się też żadnego wrażenia to nie robi. Tam już dawno piękne i gładkie słowa zastąpiły wszystkie rodzaje uczuć, odczuć i wrażeń. Przy okazji warto też dodać, że surowymi zakazami wzbroniona jest tam jakakolwiek wzmianka o sprzedaży środków antykoncepcyjnych. W najmniej (podobno) pruderyjnym mieście świata.

W londyńskim Hyde Parku można się nie tylko całować. Można się położyć z dziewczyną lub kobietą, przytulić, upieścić w sposób najzupełniej dowolny. Policjant stoi wówczas i nie pozwala zatrzymywać się gapiom. Nie należy przeszkadzać zakochanym. Tak jest w najbardziej (podobno) pruderyjnym mieście świata.

Już z tych dwóch przykładów widać, że pruderia to pojęcie względne, zależne od szerokości geograficznej, a może i niejednoznaczne. W Szwecji sprzedaje się co krok legalnie i jawnie pornografię, o jakiej nie śniło się Francuzom, za to nie sprzedaje się wódki. W Rzymie nie wolno się publicznie rozbierać, wobec czego w lokalach nocnych tancerki wychodzą nagie i publicznie się ubierają. Strip tease a rebours. Wielką skromność dziewcząt i chłopców w krajach wschodnich wszyscy nasi globtroterzy opiewają z zachwytem. Ci sami globtroterzy, którym jednocześnie podoba się całowanka w tramwaju.

Oczywiście, że to nie jest żaden problem. Co do mnie jest mi absolutnie wszystko jedno, czy zakochani całują się czy nie, na ulicy, w kinie czy w tramwaju. Myślę, że zawsze się całowali, tylko bez takiej ostentacji. Co więcej — myślę, że ta ostentacja dowodzi czegoś innego, niż nagły wylew ciepłych uczuć. Raczej pozy, zgrywy i draki. Czytałem kiedyś takie zdanie: co oni jeszcze robią w domu, gdy są sami, skoro prawie wszystko robią już na ulicy, publicznie?

Zakochani — nie ci, którzy małpują gwałtowną namiętność, nawałnicę pożądań, konieczność natychmiastowego uścisku, tylko ci naprawdę ożywieni niezwykłym, tkliwym wzruszeniem — mogą w normalnym człowieku budzić tylko sympatię. Czasem takich się spotyka. Jeśli się całują myśląc, że nikt tego nie dostrzega — udaję, że rzeczywiście nie dostrzegam. Jeśli się całują bacząc, żeby ktoś dostrzegł — pardon, ale nie są zakochani.

Nie warto i nie należy powoływać się na zagranicę, bo tam jest i tak, i tak, i jeszcze inaczej. Na Paryż? Dlaczego akurat Paryż? Powtarzam: prawdziwe uczucie jest jednak sprawą osobistą, intymną. Nie wtrącajmy się w intymne sprawy osób postronnych. Ale też nie afiszujmy publicznie własnych intymnych spraw.

To do naszych łódzkich zakochanych. Prowadzenie dziewczyny jedną ręką za biodro, drugą za szyję, nie jest ani wygodne, ani estetyczne. Czy nie szkoda rezygnować z tylu tysięcznych uroków, zawartych w stopniowaniu, w niuansach, odcieniach, dyskretnych wybiegach, unikach, dotknięciach, cofnięciach — czy naprawdę to wszystko to tylko pruderia, a najlepiej od razu śmiało, pełnymi garściami, całą gębą?

A, jeśli już ktoś tak uważa, to doprawdy jego rzecz. Dopóki nie narusza naprawdę przyjętych powszechnie norm moralności, niech robi co chce. Nie ma powodu, żeby się oburzać, zwracać uwagę i komentując głośno podkreślać tym samym własną żelazną cnotę. Prawdziwa cnota niewiele ma wspólnego z pocałunkiem w zatłoczonym tramwaju.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. 2125. VIII. 1968. P-13.